

GINNAZJUM OO. JEZUITÓW
Biblioteka szkolna
Wilno, ul. Wielka 58.

TRZY WYPRAWY

WYPRAWA DO POLSKI — WYPRAWA WILEŃSKA
WYPRAWA NA KIJÓW

JULJUSZA KADEN BANDROWSKIEGO

- Niezgula*, powieść, Lwów 1911, wyczerpane.
Zawody, nowele, wyd. II, Warszawa 1922.
Proch, powieść, wyd. II, Warszawa 1921.
Zbytki, nowele, Kraków 1914, wyczerpane.
Piłsudczycy, wyd. III, Warszawa 1921, wyczerpane.
Iskry, Wiedeń 1915.
Bitwa pod Konarami, Wiedeń 1915.
Mogiły, wyd. II, Lublin 1916, wyczerpane.
Spotkanie, nowele, Warszawa 1917, wyczerpane.
Łuk, powieść, Warszawa 1929, wyd. II.
Wyprawa Wileńska, Warszawa 1919, wyczerpane.
Podpułkownik Lis-Kula, wyd. II, Warszawa 1919.
Wianki, Warszawa 1920, wyczerpane.
Wiosna 1920 roku, Warszawa 1921, wyczerpane.
Rubikon, nowele, Warszawa 1921.
Generał Barcz, powieść, Lwów 1930, wyd. II.
Wakacje Moich Dzieci, nowele, Warszawa 1924, wyczerpane.
Przymierze Serc, nowele, Zamość 1930, wyd. II.
Miasto Mojej Matki, Lwów-Warszawa 1928, wyd. III.
W cieniu Zapomnianej Olszyny (Z cyklu: *Miasto Mojej Matki*),
Lwów-Warszawa, wyd. II.
Europa Zbiera Siano, Lwów-Warszawa 1927.
Nad Brzegiem Wielkiej Rzeki, Lwów-Warszawa 1928.
Rzymianie Wschodu, Warszawa 1928, nakł. Sekcji Bibliofilów Pol.
Uniw. Warsz.
Na Progu, Warszawa 1928, Gł. Księg. Wojsk.
Lenora (Z cyklu: *Czarne Skrzydła*), Lwów-Warszawa, wyd. II.
Tadeusz (Z cyklu: *Czarne Skrzydła*), powieść, Lwów 1929.
Stefan Żeromski, Lwów 1930.
- 1991-2

JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI

TRZY WYPRAWY

142



LWÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
1930

(7)



253248

BIBLIOTEKA GŁÓWNA
Uniwersytetu w Białymstoku



FUW0106400

Z Drukarni Zakładu Narodowego im. Ossolińskich
we Lwowie

W-125/2000

WIECZNIE DLA ŻYCIA

A gdy nas ze wszystkich stron przeciwności obokoczą, zdaleka zaś jakoby opar następuje mglisty... Gdy się łamią w oczach naszych ostatnie nadzieje i nie jest wiadomy kres i nic prócz złości koniec ze sobą zdaje się już nie przynosi... Gdy droga nasza, pełna okrzyków i wszelkiej otuchy, biegła równo pośród zielonego świata, coraz lepszych czasów — a teraz odchylają się od nas lepsze czasy i pomartwiła się cała zieloność i nic nie widać, zda się może, prócz mitręgi...

W takim zastosowaniu kamiennem, gdy to, co było polotem, staje się ciężarem, każdy patrzy, gdzieby miał, — w zapomnianych rozpadlinach, w nienawiedzanym już dawno jarze, czy też na błoniu swej duszy otwartem, — coś, coby go zatrzymało, wzmocniło.

Coby się stało nowem popchnięciem ustalego koła do nowego obrotu.

Jest nas takich ludzi, których przeciwności obokoczyły i zewsząd trzymają, wielkie mnóstwo. Lecz w tym razie naszym, w tym przypadku ciężkim, nie pora ze smutkiem na martwy koniec drogi spoglądać. Bo ktokolwiek myśli, iż coś kończy, niczego nie wyczerpie... Wszyscy bowiem,

ponad wszelkie nasze rozumienie, wiecznie dla życia jesteśmy postanowieni.

Tak samo, — kto w tym razie wszelkich rąk opuszczenia i gorzkiej pustyni w piersiach rozścielonej, — kto się ugina, albo gotów swoją rzecz sto razy pod górę wytaczać o krzywdę własną, — ten nie jest w zgodzie z temi krokami czasów i prawd, któremi one chadzą ku nieznanemu nam nigdy naprawdę zamknięciu.

Nie należy więc i wcale nie trzeba swej krzywdy sto razy pod górę toczyć, lecz trzeba poszukiwać tych przedziwnych zbiegów życia z człowiekiem, gdzie wypowiada się moc w zwalczaniu przeciwności, gdzie wypowiada się wielki urok małego ciała ludzkiego, które się na potęgę, na wodę i słupy ognia, które się swem czuwaniem na przestwór płynący porwało i czoła przeciwnościom dotrzymało.

Każdy z nas widział gdzieś takiego człowieka i takie jego spotkanie z losem. Spotkanie, od którego niemieje wszystko w piersi, — lasy rzedną, błędnie trawa, wiatr oddech swój zatrzymuje, woda płynąca w miejscu się ostawia i jest tylko twarda wola po jednej stronie, — a po drugiej nowy świat, nowej harmonji czekający.

Każdy, kto rośnie a nie zasycha i nie znika, spotkanie takie chowa w swej piersi, — jakby na mroźnem odludziu trzymał ostatnie, jedyne iskry ognia, od którego zależy wszystko... Każdy te iskry hoduje i rozdmuchiwatchnieniem własnem, w które wtopione są najdroższe, najpiękniejsze porywy ludzkiego życia.

Wielkiego czasu wojny, gdy ludzie chadzali z losem swym zapanbrat, a ze śmiercią nieprzeliczoną pod rękę,

wiele ujawniło się miejsc, trysnęło nieprzebrane mnóstwo dróg, na których pierś o pierś potykał się z człowiekiem przeciwny los i czas niespodziewany.

Było z tego wiele światła, które na wieki zgasło, śmiercią pochłonięte, ale wiele zostało iskiei, które płoną w piersiach żywych ludzi. Oddać te iskry innym, sprawić, żeby się ów ogień krzewił dalej i jeszcze dalej, — to niezawodne szczęście pisarza.

A jeśli się od tego schnie i z liści, z krasy opada i jeśli się może od tego w konarach głównych pustoszeje, nader przewiewnym się stając, to nie w tem rzecz. Bo nie o to by stare drzewo trwało, toczy się dzień i noc na zmiany, lecz płyną, przeplecione cudownie, — by wiatr kruszył starą drzewinę, gdy jej nowe ziarno spoczęło w ziemiach szerokich.

WYPRAWA DO POLSKI

RUBIKON

1915

Nocami hasał krąg ogni, w którego głębinach, niby zgorazona opatrność, ukazywał się nam straszny żar wojny, trzaskający kudłami płomienia.

We dnie szliśmy w długim pościgu, napoły nieprzytomni, pomiędzy jasną pogodą lata a trupami naszych kolegów.

We dnie i w nocy, zawsze, ciągle, codziennie, aż oto nagle wołają — odpoczynek.

Więc ty tu, a ja tam, gdzie kto może, tam leży, pada, siedzi.

Ten oto wlecze siodło, z którego zwieszają się strzemiona i dzwonią w letnim słońcu srebrnymi półksiężycami, tamten usiadł na progu chaty i niczem w roju padalców, grzebie w czarnych rzemieniach, których żelazne sprzączki, jak ostre zęby szczerzą się ku światłu. Inni leżą przy wydeptanej ścieżce, poodał chałupy, w której jest utwierdzone koczujące dowództwo Piłsudskiego. Oczy mrużą pod blask południa i patrzą na wstrząśniętą, zakłóconą ziemię Lubelszczyzny. Starasiło ją setki tysięcy stóp i strasznie pogryzł pożar, założony przez Rosjan.

Ja zaś siedzę przy skraju warzywnego ogrodu, polany słońcem, na małej ławeczce, którą dwa słabe polana przytrzymują. Doszły mnie listy zdaleka, od drogich ludzi, listy i podarunki. Trochę jedwabiu, trochę jedzenia, jakaś wstążka, słowem, karawana bogata z domu dalekiego, który się tam gdzieś we wielkim świecie wojny małą łupiną kołysze po falach ogromnych.

I z tego właśnie teraz powodu wielka przyjaźń zakwita we mnie do całego świata, pomieszana z najtroskliwszem pobyżaniem.

Widzę przed sobą grzędy marchwi i pietruszki, a czupryny ich naci, rzekłbyś rękami pośpiesznej wesołości wycinane w drobne ząbki, mierzwią się i kołyszają. Widzę tuż obok kostropaty gnat starego krzaka bzu, z którego znów wykwitły i z wiatrem się ku górze wydzierają liście kształtne, — jak młode, zielone serca.

Opadł mnie i przepoił jeden na wszystko najrozmitsze, znak, który jest liściem, to znów piętnem cienia, lub błyskiem nieba, albo też osypaniem się prochu kwietnego, albo też niemym przelotem cichych kosmyków kory, z jednej strony, — na drugą.

Opadł mnie znak radości, który sprawia, że choć tak dużo zdarzyło się niedawno, tyle bitew i znów tyle krwi i Niemcy wzięli Warszawę, — że nic mi to wszystko nie znaczy.

Poodał słyhać od stodoły wściekle ujadanie, głuchy tupot koni, szarpaninę uprzęży i wrzaski.

To nic, to się nasi żołnierze żrą z Czechami austriackimi. Słowa się tam wygniatają z szerokich wrót stodoły, coraz gorsze, coraz pośpieszniejsze.

Gdy wtem przyszedł do mnie szef, że zaraz jadę wtył, do tej a tej wsi, że jedzie tam każdy osobno, aby żadnej sensacji Austriacy nie przewąchali, gdyż w wielkiej tajemnicy Komendant wyrusza dziś do Warszawy.

Trudno mi było zrozumieć, w jakiż to sposób pojedzie ten dowódca brygady, których jest pono setki i setki w rozporządzeniu A. O. K.?) Lecz któremu nikt nie dowierza, który chodzi między nami a komendą Legjonów, obsadzoną przez Austriaków, bez odznak i dystynkcji, jakby już napół gotowy i przysposobiony do więzienia? On, który nawet nie ma prawa pisania marszrut! Za jakim dokumentem pojedzie, z czyjego pozwolenia?

Wiadoma rzecz, jak gęste filtry szpiegowskie ustawione są za frontem. Ile razy tu człowieka dotkną i pomacają, ile razy musi pokazać papier, ze wszystkich stron pieczętowany!

A cóż dopiero żołnierz z Brygady, który na froncie ceniony jest, jak perła, lecz którego na tyłach obsiadają Austriacy i tak poniewierają po czarno-żółtych „amtach“.

Nie dowiedziałem się żadnych szczegółów. Lecz już rozpostarła się w człowieku ta rzecz powszechna, to wyższe dobro, tyle razy bezsilnie przeklęte i znów gorąco uczczone. Znów wraca wszystko w swe formy przykazane i już nie ty władasz sobą, a tylko to, co rośnie poza tobą, nie w drzewie i nie w polu, i nie na wodzie, — lecz niewidocznie uplecione z wszystkich przymusów życia.

Już moje nowiny z domu upchane są w małych tro-

*) A. O. K. = Armee-Ober-Kommando — Naczelne Dowództwo Armji.

kach, już wstałem, drzazgi małej ławeczki iskrzą się w słońcu daleko już poza mną.

Znowu się trzęsie człowiek zpowrotem drogą, którą był naprzód szedł. Rozlane zdroje łąnów, chrzęst beżmierny tej fali suchej a płynnej, na błękitnem niebie białe żagle wzdęte i ciągły syk wśród zbóż, — jak głos najpogodniejszego zapomnienia...

We wsiach prawie nikogo, ludzie pokryli się w dziurach na ziemniaki, żołnierze naprzód wyszli. Tylko w rozwalonych stodołach, we wrotach szerokich, do cna rozwartych, pomiędzy złamanym wytryskiem słomy, za oknami chałup, gdzie pod pułapem buja lekko, w mroku, mały kręciek chłopskiej radości, ze strzyżonego lepionego papierka, — myszkują po tropie armji tłuste żandarmy austriackie.

W ciemnozielonych mundurach, z błyskiem złotego orła na korkowym hełmie, tłusci i grubi, z żądłem bagnetu nad głową, podobni są do chrząszczów-łajniarzy, toczących na opuszczonych drogach nawóz koński.

A przecież, — myślę, jadąc przez tę oblawę, — jeżeli się Piłsudski wybiera do Warszawy, będzie też musiał mijać takie pogonie. I nagle wydaje mi się, że gdzieś, na tle tych starych, złotych stodoł, niczem przed otworzoną arką polskiej doli, obsiedą go te chrząszcze i nie udźwignie na sobie tego mnóstwa, tak, — że go pokryją i stoczą...

Zajechałem nareszcie przed folwark rozległy, dyszący fioletowym cieniem białych ścian poprzez zielen murawy.

Przed zajazdem, jak wszędzie, gdzie stoi mnóstwo ko-

ni, wlokła się złota kosa słomy ku wszystkim stajniom i stodołom.

Jak na porę wojenną cicho tu było prawie. Czasem tylko przeleciał rzewny głos po listowiu ogromnych topoli, ustawionych rzędami i mieszał się z echem ludzkich głosów od strony domu.

Zajrzałem przez okno.

Piłsudski siedział za stołem, pod ścianą. Ułany tam i sam po kątach, — nad wszystkim kołaczące za szybą ściennego zegara małe słoneczko wahadła.

Nie, żeby to był strach, lub jakaś horendalna czołobitność... Ale kiedy jest we dworze, czy w izbie, na wsi, o widok ziemi i drzew oparty, — sprawia Komendant, że się ludzie jakby sami przez się od niego oddalają...

Jest jakaś tradycja w tym człowieku, wielka a mimo-wolna. Ona to sprawia, iż wszystko, co byś sobie chciał przypomnieć rycerskiego z doby twych dziadów, lub z jasnego pasma historii twego kraju, wszystka powaga, troska, — taki właśnie przyjmuje kształt żołnierski, jaki On ma.

Oto pije herbatę, odsuwa wasy, huczy z piersiowej głębi swego głosu i nic przecie nie działa teraz, a ty czujesz, czujecie wszyscy, jak droga jest każda chwila przemijania.

Mówi się o byle czem, dziś trzynasty sierpień, że trzynastka feralna jest i lepiejby było podróży, tego dnia właśnie, nie zaczynać. Równocześnie, gdzieś w kącie, idzie dalej targ o konie, — jakież konie, jakież wehikuł da rotmistrz Komendantowi?

Oficerowie, którzy z nim jadą, są już przerobieni na

prostych żołnierzy. Nazywać się będzie przez drogę, że Komendant zachorował, że, — serce, — szmery, — i oto doktor go wiezie po poradę do Warszawy.

Najtrudniejsza rzecz z marszrutą. Nic nie jest miłsze władzom od tego, by był chory... Aksamitem usłaliby mu wagon, wszystkimi napisami okleili i do wszystkich Kissingenów wypawili.

Ale wówczas nie dojedzie do polskiej stolicy, gdzie już działacze wszystkich cen niedrogie swoje słowa mówią, nazwisko mu przypawiają, już może je na centy rozmienili i już może na wadze jakiejś ugody ważą?

Więc robi się w porządku wojskowym fakt niebywały, że sobie Komendant marszrutę sam podpisuje.

Dwóch oficerów, to vorreiterey, a innych dwóch, to koniuchy, na drugim wozie, z rzeczami.

Więc nato po tyłu Związkach, po tyłu zagranicach, po tyłu Strzelcach biegaliśmy i nato się przez rok tak krwawo walczyło, i tyłu ludzi w ziemi posiało, aby znowu teraz, w odzieży lichego przebrania, podkradać się do własnej stolicy!?!

Przeto jeden do drugiego przepija, jeszcze to osłe salami austriackie przegryzają, lecz z czegoż się tu cieszyć?!

Tymczasem targ z ułanami dobity, powóz podany już — czas wsiadać.

Właśnie jest pora upatrzona, żebyśmy przejechali nieza wolno i nie za prędko, szczególnie koło Adamowa (jeżeli mnie pamięć nie myli), wsi, w której stała komenda Legjonów.

Żeby nas jeszcze ci naprzykład nie ujrżeli...

Stoją już koniska, zaprzężone do biednej landary. Landara z bokiem wytartym, z kapucą oberwaną, oraz wcale żadnych stopni nie posiada.

— Kosz, puzdro, tabakiera, psiakrew!! — zżyma się ktoś, — a nie powóz! I co za konie, — dziady!

Bo przy tych koniach, to właśnie, jakby przymierzył rotmistrz z ułanami, do jakiejś przyszłej opowieści, w której będzie wysłowiona wielkość Wodza i to, jak mimo niej dzień powszedni się pętał i nigdy na włos od swego ustąpić nie chciał — na rzecz wielkości.

Pewno, że to nie były wierzchowce i że żaden ułan zsadzony z konia nie został dla podróży, która o losie wojska ówczesnego miała stanowić. Były to średnie, zwykle fornale o wolim kroku ochwaconych kopyt, jeden zaś płuca miał przedetę, że gdy technął, to mu się cały kaktun ku tyłowi posuwał.

Drugi wóz jeszcze gorszy, bryczka zeschnięta, przegrodzona snopami zamiast siedziska, a kto te sposoby jazdy zna, ten wie, co to będzie, że nigdy snopka twoje siedzenie w pożądanem miejscu pod sobą nie wymiarkuje.

Adjutant Komendanta klócił się o te konie, białemi oczyma ciskał na wszystkie strony, ale ułani, akurat jak-gdyby chcieli wyręchtować, żeby to całkiem po szlacku wypadło, — patrzą po sobie, nic nie rozumieją, na koniach mu urwali, temu wodzowi swemu, na wozach, i nawet na obroku dla tych koni.

Ruszyły wreszcie owe cugi sporym krokiem, ułani na przyźbie baczność stuknęli, ale jak to zawsze z Komendantem, który, gdy odjeżdża, już nigdy za siebie nie



patrzy, tak i tym razem stało się, że ani żołnierzy pod strzechą, ani okien, ani wieńca topoli nie widział chyba.

Musieliśmy się wziąć na boczne drogi, które spadają przez mapę cienkim sznureczkiem ku południowi, aż do wielkiej szosy. Musieliśmy tak jechać, aby na tę szosę lubelsko-warszawską przybyć w nocy, to jest wtedy, kiedy prawowite władze wojenne oraz opasłe wielmoże austriackiego etapu już dawno śpią, całe prawo tępemu landszturmanowi zostawiwszy.

Wkrótce wieś za nami znikła, roztworzyły się pola łagodne, wzburzone pięknie kępami drzew.

Rozmawiało się po drodze o wielu błahych sprawach, kraszając je pozorną wesołością wymarszu. Pozorną, bo w głębi tych wszystkich przekomarzań leżało, tak wówczas każdemu z nas znane, nad wszelki wyraz ciężkie uczucie, że oto znów cały zaszczyt naszej służby pierwszy lepszy feldwebel zelżyć może i zniszczyć.

Wszystko to odczuwane bezmierną niechęcią duszy i niepokojem. A tu jeszcze i ci z komendy Legjonów po drodze, gotowi aresztować.

Tak więc żartowało się pozornie, od wewnątrz jednak palił człowieka rumieniec wstydu. Jeden tylko Komentant wesół był i swobodny, lecz u niego, jak to oddawna wiemy, wszystkie te sprawy innym rachunkiem chodzą, nie mamy bowiem i ktoś może mieć takie zasług gospodarstwo i takie wyliczenia z Ojczyzną, jak On?

Na włos od wstydu ciężkiego, na sekundę od wielkiej napaści przewrotnego prawa, na włos od tego, żeby się ze wszystkich cesarskich kacelaryj zakazy posypały i żeby przez większość Polski leciał śmiech, oraz pogardliwe

ramion wstrząsanie, — jechał sobie swobodnie jakby mógł jechać gospodarz z folwarku do folwarku, letniem popołudniem, by się dowiedzieć, czy wszędzie aby równo dochodzi nam, to nasze dobre żyto.

Jeszcze trochę zresztą i pochłoneła wszystko boczna droga polska, na którejbyś zapomnieć snadnie mógł o całym świecie, — tak jest grząska, tyle razy doświadczona, i nigdy chyba, do końca świata niezmieniona.

Przed tobą twardy fryz dwóch końskich łbów, przy dyszlu skiby dwóch bułanych zadów, poniżej ręki zwieszanej stare szprychy drewniane, przez które leci piach.

Leci piach, żelazo przebiegiem swym obmywa i jak ty śpieszysz żarliwie, tak ów piach, nigdzie się nie kwapi, niesiony byle gdzie wiecznym przypadkiem świata.

Wszystkie te ruchy, składają się na jeden głos utysku i dorady.

Ów głos niesie się po widoku pól, chałup, nieba, słońca, a tak jest przyrodzony na tych drogach, jakby to on skrzekiem swym utyskliwym wszystkie sprawy tutejsze wyrażał.

Z takiej błogiej zadumy wyrwał nas, raz po raz, na skrętach ukazujący się Adamów. Widać tam było w otoczu drzew wysokich, — teraz w słońcu wieczornem, niby muszla szafirowa sklepionych, — szczyt dworskiego dachu, poodał, z głębin gałęzi strzelające do góry dwie wieże kościoła. Ach tak, — tylko czekać, kiedy z glansowanych drzwi pałacu wyjdzie ku nam na czerwonych lampasach rozwścieczony generał w złotej obroży.

Ostatnie reszty dnia i światła włóczyły się po mętnych

polach, gdyśmy stanęli w pobliżu niebezpiecznej szosy, po której dudnił nieprzerwany ciąg wojsk.

Słysząc było wyraźnie przemarsz wielkiej siły, dzwoniącej ciężkiem żelastwem.

Nasze dwa biedne wózki utknęły gdzieś przed mostkiem, który ledwo się jeszcze bielił w ciemnościach. Już późno. Na szosę wyjść nie można, bo nas ogarną Niemcy. W polu zostać — nie można. Złapie nas jakiś patrol. Dreszer z Wieniawą skęcili w bok szukać tutaj schronienia może gdzie we wsi czy w samotnej chałupie.

Milczeliśmy.

Piłsudski siedział w powozie, schylony, zadumany nad brzegiem siennej połyskliwej rzeczki, nad tym wieczystym sennym płyciutkim Rubikonem polskim. Od czasu do czasu blask papierosa rozświecał twarz Komendanta i wtedy ukazywała się, jakby niespodziewanie, objęta malutką łuną, wyczekująca tu posłusznie z całym losem ojczystych spraw — na chłopski nocleg.

Nareszcie wrócili adjutanci z wiadomością, że miejsce znaleźli w samotnej chałupie, na uboczu od wsi i dróg leżącej.

Chłop się przestraszył, bo jeszcze nigdy takiego wojska nie widział, — żeby było polskie.

Nie można inaczej powiedzieć, a tylko, że wszystkie nasze życzenia spełniał i na wszystko się zgadzał, jakby spełniał życzenia duchów.

Już noc stała za oknami, czarna i błyszcząca, już się w drzewach sadu i grzędach ogrodu spoczynek na dobre układał z szeptem gałęzi, gdyśmy zasiedli do kolacji.

Było przytem mnóstwo biegania, coraz to chłop, to baba zjawiali się z miską, talerzem czy kubkiem.

Rozmowa szła nerwowo, jutro bowiem mieliśmy wjechać w rejon Niemców, a nie znaliśmy ich jeszcze, zatem nie wiedzieliśmy, jak ich zażywać wypadnie. Któryś z naszych kawalerzystów odgrażał się, że żywcem nie da się wziąć. Inni ze swej strony różne sposoby przytaczali. Wkońcu przerwał to Komendant twierdząc, że żadnych sposobów nie trzeba, on bowiem jest chory na serce.

— Mało panom? Czegoż chcecie więcej? Każdy przecież ma wkońcu prawo chorować. Już tyle razy w życiu musiałem to odgrywać.

Przypomniawszy dawne czasy więzienia w Petersburgu i te długie miesiące, kiedy pod obserwacją lekarzy musiał obłąd udawać.

— Trzeba mieć tylko istotnie silną wolę, proszę panów.

I oto nagle, w niewiadomy sposób, w nieuchwytną chwilę, już mieliśmy przed sobą dwuznaczną grę: Potężna obecność tej twarzy rozkruszyła się w mgnieniu oka, na cały szereg uśmiechów, niezwiązanych. Światło spojrzenia bezprzestrzenne się stało i szklane, gesty straciły wszelki ład.

Każdemu nagłemu ruchowi jego rąk towarzyszyły teraz ciemne chmury much, z bzykiem uciekających po izbie.

Przez chwilę zdawać się mogło, że oto tu właśnie, w białej chałupie chłopskiej, po nocy, spadł Piłsudskiemu z twarzy wszystkich majestat wielkiego przeznaczenia, że się przez rygor posłannika przebił strudzony człowiek...

I że oto w tej drodze bez wyjścia już prawie, rozgania czarne chmury much nieprzytomnymi dłońmi, — dziś, — wczoraj, — jutro... Może przez wiele dni, może przez wiele lat, oddawna, bardzo dawna, — miotający się po tej ziemi i wszystkich jej okaleczonych krańcach, pokutujący tu w strzeleckiej kurcie, na brzegach obcej władzy, w tym kraju, gdzie cudza moc płynie główną drogą, a on, jak błędny ogień pełga boczną ścieżką po polach, po wertepach.

Wstaliśmy rychło świt i zaraz naprzód ruszyli, teraz już szosą, poprzez niemieckie panowanie.

Ziemia płynęła po obu stronach równo, lekko się ku górze za mgłami poranka podrywając. Szare powietrze zwolna dopiero drzeć poczynąło od życia, objawionego w wysokościach błękitu głosami ptaków.

Minęliśmy już pierwszą miejscowość, gdzie byli Niemcy. Już widzisz tu i tam bure kloce prusackie i ten ruch, po którym ich poznasz łącznie wszędzie, — twarde, stanowczy, mechaniczny.

Dziś dopiero widać, po całej drodze wczorajszej, że nas ułani istotnie przy wyjeździe ocyganili na koniach i na wozie. Jedno koło powozu Komendanta już bełkoce i dźwięk niedobrego luzu ma w swym obrocie. Koń z drugiego pojazdu zakuty jest i kuleje coraz mocniej.

Coraz przystajemy, choć tak bardzo zależy na pośpiechu. I stuka się po kole, mutry obłuzowane palcami się wgniata, koniowi gładzi się pęcinę i dmucha mu się w strzałkę i obolałego gwoźdź się dotyka, od którego kopyto zaraz skacze do góry, — jedziemy coraz wolniej — wolniej.

Aż nareszcie przed górką, na której zaczyna się las, koń przystaje i — dalej iść nie może.

Stanęliśmy w połowie drogi, — o takie głupstwo.

Słońce już się przedziera przez czerwone pnie sosen, już iglaste gałęzie mienić się poczynają iskrami. Gdzież tu może być jakaś porada na tych polach szerokich, nad którymi rozlegają się tylko w mgłach tkliwe głosy skowronków?...

Szukamy, wypatrujemy. Wkońcu, na skłonie, obok górki, w której się nadół wdał rozlewa wielki las, dojrzeliśmy chłopca, orzącego małym zmyślnym konikiem.

Jeden z naszych powiada: — Niema co, trzeba będzie wymienić.

Idziemy po brózdzie do chłopka, zaczynamy od Boga i od szczęścia przy robocie.

Chłopiek kosmaty, że mu z dziurek od nosa i z uszu i z rozchylonej na piersiach koszuli włosy, jak osty wylażą, przygłuchy jeszcze do tego, — nic nie rozumie. Ty mu mówisz o koniu, on ci o mieście, ty o zamianie, on o urodzaju, ty mu, że masz daleko, on o Ruskach, które odeszły.

Więc jest, jakby przystało na jakąś polską biblję z wieczystą przypowieścią, że tak w tem życiu będzie, a nie inaczej, — po wsze czasy: Będziesz jechał o losów rozstrzygnięcie, najbliżsi twego nie doliczą, z koniecznego urwą, a potem na sam ostatek przed chłopkiem, Cyrylu i Metody, w brózdzie mokrej staniesz, po prośbie.

Dopiero kiedyśmy naszego wałacha, chociaż zakute-go, odprzęgli i do targu przywiedli, gdy się konisko obej-

rzeń dało i w zęby i w tylną kichę i wszędzie, westchnął nasz Piast serdecznie. Jeszcze wzdycha, jeszcze krzyczy, niby od tej głuchoty, aż się po polach słowa, jak krzemienie obijają, — ale już swoją szkapę odprzęga, już się z nią żegna mocnem klepaniem, a także i w ten sposób, że jej czarnymi pazurami swych palców złotą grzywę rozczesuje.

Nasz koń zakuty, ale siłacz, ułan, — a ta szkapina tyle, że na pierwszy dzień lepsza, bo niezakuta.

Wymienialiśmy i kupcyli ze starym chłopkiem, który w te pędy słuch odzyskał, — gdy z nad górki i z nad sosen. w białem słońcu promieniejących, wychynęło nagle sześć wielkich niemieckich samolotów.

Mknęły szybko z buczeniem dźwięcznem i wesołem. trzepiące stalowemi obroty w złotych mgłach, tuż pod niebieskim rozmiarem błękitu. Niby pszczoły tęczowe mknęły ku wschodowi, nie popatrzywszy nawet na te niskie kłopoty, jakim się oganiać musiał Wódz polski, o jednym koniu, jadący do stolicy.

Dopiero na szosie bitej, dla wielkich ruchów przypodobionej, okazało się, jak słabe i wątłe są nasze siły, jak ubogiemi rozporządzamy środkami. Coraz trzeba stawać, rozluźnioną obręcz pobijać, na chłopskiego konia krzyczeć i przemawiać, bo się z wielkim ułanem nie dobrać i nadążyć mu nie mógł.

Trzęśliśmy się tak cały dzień we wstydzie i upokorzeniu, coraz częściej spotykając duże oddziały niemieckich wojsk. Widzisz z każdego kroku, że gdy u nas bieda, tam bogaćstwo, gdy u nas ziarno, — u nich, aż przesypuje się od nadmiaru.

Dnia tego, jeśli się nie mylę, 14 sierpnia, przyjął nas na wieczór, położony wedle szosy dwór w Sulbinach, którego gospodarz generałem Komendanta nazywał i ze zdumieniem patrzył w salonie na stary konterfekt generała w buljonach z 1831 roku, — zdziwiony, że ten współczesny generał polski takich budynków na ramionach nie nosi.

Nazajutrz wyruszyliśmy o porze wymierzonej, aby przed wieczorem stanąć w Warszawie.

Wjechaliśmy w orbitę marszu którejś armji niemieckiej. Od samego rana płynęło to wojsko żelazne drogami, lasami, ścieżkami, polem, miedzą i każdym miejscem wolnem.

Od samego rana przez upalne promienie słońca ważyły ciężkie artylerje. Od samego rana do południa i z każdą godziną coraz więcej rósł huk. Były chwile, kwadranse, w których zatrzymywać musieli krok ludzie i konie, a wszystkie koła warczących baterij milkły, bo oto od zachodu pędziły całe gromady, całe tłumy samochodów, z jazgotem przeraźliwym i z kurzem podniebnym.

A potem naprzemiany zalewała nas niemiecka jazda, ciężko pracująca na siodłach. Między lasami, nawskroś, świeciły ostre lasy białoczerwonych lanc, zaś po szosie odbrzymiej sywał się wciąż nieprzeliczony mial piechoty, która deptała ciężko, jak grad.

Albo znów obegnał ich wszystkich rozkaz, a wówczas, jakgdyby straszliwa moc tego państwa, co tych ludzi tu słało. leciał ryczący oddech i znów, rzekłbyś żelazne bloki, czy zręby, pędziły wielkie samochody układać się

tam gdzieś, na końcu świata, w nieprzebitym muru niemieckiego uporu.

Nam, żołnierzom, którzy tyłać się musieli koło austriackiej biedy i łataniny i którzy się tylko z Rosjanami porali, — oczy chciały wychodzić na wierzch wobec widoku tej masy broni i żelaza.

Naprzeciw owych bajecznych skarbów śmierci i grozy ludzkiej, stała zaciśniętej, naprzeciw tych głów setek tysięcy, które strojne w ostry szpic pikelhauby toczą się po ziemiach ogromnych ku wschodowi, — jedzie nasz Wódz. Dla niepoznaki, dla zamylenia, oparcie powozu wyłożone ma białą, łózkową poduszką, na którą oto skłonił głowę, — łyka bezmiary kurz z pod nóg tej armii zwycięskiej i wodzi zimnymi oczami po tej potędze.

W połowie drogi musieliśmy znowu ze szosy zejść.

Powóz prawie rozlatywał się, chłopski konik animusz stracił, obręcz trzeba było z koła ściągać i na nowo nabijać.

Zeszliśmy w głąb od drogi, ku jakiejś kuźni, opartej o szare, równe parkany wielkiego pańskiego folwarku.

Tu kowal stuka, miech furczy, wielkie serce ognia ukazuje się w ciemnej czeluści, wytryska płomieniami i gaśnie, my zaś siedzimy na trawie, Komendant w środku. Czekamy.

A tam drogą, straszna potęga płynie i płynie, obłoki ją ciężkie unoszą, świat od niej drży, ziemia się od niej trzęsą.

Mówiliśmy tu na murawie o armji i o tych armjach świata i o tem, jak się duch narodu w swej broni przeglądać może, niby w lustrze o tem, że my —

Wtedy nam przerwał Komendant i wkrótce znalazł się w Jego słowach wszystek jego duch i wszystka krew i każde drgnienie całego życia... Spalona, pyłem i kurzem oblepiona twarz jąła lśnić potem serdecznego wysiłku, słowa wyrwały się z piersi mocne i dźwięczne, jak dźwięk kuźni pobliskiej.

Marzył, aby Polska, w tej wojnie, z niespodziewanym dla całego świata posagiem weszła między ludy Europy, prawo wywalczające. Żeby weszła między nie ze swą młodą armją, pocztą nie z rutyny, lecz z serca, z duszy Narodu.

Zaś ja rozumiałem, że siedzi tu teraz Piłsudski, pod parkanami jakiegoś pałacu, przed biedną kuźnią graty swoje ubogie łatając, zlany potem, pyłem i ziemią oblepiony, jak nieśmiertelny jałmużnik swego Narodu.

I że nie będzie nigdy wielkim, kto u swego Narodu żebrac nie potrafi.

Już prawie nad wieczorem ruszyliśmy dalej. Słońce zachodziło, gdyśmy się w pobliżu Warszawy znaleźli.

Jechać nam wypadło przeciw morzu wojennego przepychu, w piekielnym huku lecących rzędami samochodów. Naprzeciw tej glorii stalowego zwycięstwa trząsł się mały wózek Piłsudskiego.

Właśnie na tym gracie starym bez stopni, przybywał do stolicy polskiej, wielki głos niezłomnego protestu, głos najśmielszej odwagi, dumy i najszczytniejszego bohaterstwa.

OSTATNI POSTÓJ

1916

Jakże się nam wówczas przelewała gorycz i zgryzota przez wszystkie słowa, spojrzenia i uczynki! Stanęliśmy już chyba u kresu, że ani w prawo, ani w lewo, nad brzegiem tego, co granic nie ma, nad brzegiem samej rozpacz!

Skrwawiliśmy się okrutnie wszystką krwią przed Kowlem, w zaciętej obronie, na moczarach i błotach wołyńskich.

I cóż, — i nic.

Długi memorjał poszedł do A. O. K. przez Piłsudskiego zaczęty, a którego to memorjału brygadjerzy nasi wzdygali się podpisywać.

Było z tem wiele jeżdżenia po nocy między pierwszą linią okopów, a wszystkimi komendantami, wiele żmudnej mowy, dużo czekania i mitręgi.

W trakcie tego przybyli z zachodniego frontu oficerowie niemieccy, specjaliści i w głębi cudnych, jesienią pachnących lasów wykładali o gazach trujących — o Blausverfahren, Schiessverfahren — czego musieliśmy słuchać niby szczury sposobione do wytrucia.

Nareszcie brygadjerzy podpisali ten akt, to znaczy,

że albo się Polskę postanowi, albo nasze wojsko pójdzie do domu.

A potem pewnego dnia Piłsudski siadł na bryczkę, zajechał tu i tam... Tu i tam w swych pułkach pogadał, za stołem, na łączce i kromeczki poczęstunku ubogiego pojadłszy, uściśnął dłonie swym oficerom po raz ostatni.

Potem całą godzinę huczał gniewnie w kwaterze brygadjera Hallera, w Dubniakach, mroźnym wieczorem przy księżycu — i już odjechał na dobre do swego wojska.

Wtedy wszyscy jednym głosem powiedzieliśmy, że nie masz więcej żołnierza bez ojczyzny! I stała się na tym froncie, od Rygi do morza Czarnego rozpiętym, rzecz nieoczekiwana: Oto kilka tysięcy głodomorów wzywa na świadka honor i stawia przeciw sile, jakiej świat nie widział od czasów niepamiętnych.

Od tej siły dostawaliśmy wszakże i tę kromkę chleba i tę zupę codzien i odzież, co na grzbiecie i tę broń, co w rękę. Wszystko, czego się tkniesz, to ci właśnie ona siła użycza ze skarbów swych nieprzebranych, a ty masz tylko to swoje tanie ciało za cały swój majątek i ów kawałek duszy, kołaczącej w piersiach zmarzniętych.

Podaliśmy się do dymisji, składając owe podania na świstkach i na papierze listowym, wyłożywszy tam wszystko pismem prostem i niewyszukanem, a tak szczerze, jakby słowa w życiu służyły do prawdy wyrażania, a nigdy nie miały wyręczać fałszu.

I już nam było jedno, czy sobie jakiś feldwebel kradzione z tych ziem tłuszcze będzie w papier naszych śmiertelnych cyrografów zawijał, czy też może będzie sobie w piecu tem palił, — bośmy działali bez żadnej

ubocznej myśli, a tylko, — jakgdyby swemi jasnymi oczyma Historia sama patrzyła prosto na ostatnie dni naszego legionowego żołnierstwa.

Dnie już były do końca niedalekiego policzone, a wiadać to było zewsząd.

Staliśmy nad rzeką Stawokiem, otoczeni przez Węgrów i czeskie brygady, — przed nami na odcinkach Niemcy, a dalej w głębi, za Czechami, stały jeszcze cztery brygady Turków.

Cóżemy wtedy wiedzieli, cóżemy słyszeli wtedy pod niebem, ku ziemie już nachylonem, zasianem ostremi gwiazdami, świecącemi w wielkich ciemnościach, przejęci wiatrem, który szedł z pół, omroczeni wielkim zapachem uwiadu tych lasów bezmiernych?

Nic nie wiedzieliśmy, co się w kraju wyrabia i co kto mówi, i nie liczyliśmy się z tem, co się ułoży w domu, lub postanowi w dowództwie armij centralnych.

Przemawiał jeno do nas, jak ogień między nami chodził, płomieniem z miejsca na miejsce, — uczynek Piłsudskiego, że dłużej honor nie pozwala i lepiej rzucić wszystko.

Wtedy znów rozkazy przyszły mętne, że niby będzie powrót do kraju, czy też jakaś dalsza droga...

Załadowali nas Austriacy i wlokąc od miejsca do miejsca, i nic nie mówiąc, przewieźli do Baranowicz, Niemcom w podarunku.

Przybyłem tam za innymi pod sam wieczór. Wielka stacja, pożyczowana gęsto szynami, niby zamek żelazny, wyrwany z kutej bramy świata, między lasy potężne, oraz błota straszliwe rzucony.

Niemcy powysypywali się z wagonów, dziękczynnie spojrzeli na spocony brzuch lokomotywy i poszli, każdy z jakimś tekturowym pudłem z domu.

Ty zaś jesteś Polak, nie możesz odrazu wiedzieć, gdzie i którędy, bo ciebie jest tak mało, że łatwo cię przeoczyć.

Pokręciłem się po stacji w różne strony na darmo i wreszcie powoli za innymi wyszedłem drogą, która wśród wielu innych wydeptanych znaków prowadziła, starannie ułożona z desek i połatana kamieniami.

Na gościńcu wiatr się podbierał mocny i przez czarne błota, traktem poganiał ku nocy ciężkie sprzężaje wojenne.

A przez ludzi, wozy, konie, przez wszystko skacze oschła i chuda gotycka litera niemieckiego skrótu pułków, dywizyj i innych wszelkich wojskowych nazw. Tę samą literę widzisz na słupach ostruganych, na sturęcznym drogowskazu, wszędzie, — niby hasło jakiegoś przedziwnego wyroku, przyniesionego aż tu między czarne błota i bure lasy.

Wyłożoną drogą szliśmy do: „Soldatenheimu“.

Tu, w tych pokojach o tykającym pomiernie zegarze, gdzie lata goni ceratę, a cerata kuma się z szydełkową robotą, zasiadają niemieccy żołnierze, przybyli, czy to z Turynji, czy z Bawarii tłustej, czy z zawziętych Prus. I tu znów mają tryb swego domu dosłownie urządzony. Na ścianach Hindenburgi, po stołach skacze kratka taniego drelichu, a między stołami uwijają się wysokie płaskie siostry, — sanitarne Walkirje w dymie owsianej kawy.

Tak oto za mieczem niemieckim wszędzie kuśtyka sucha kądziel.

Z tego „heimu“ ruszyłem przez mrok, długą szosą do Baranowicz, gdzie, w którymś czworoboku niezliczonych koszar miało stać gęsto upchane, zbuntowane wojsko legjonowe. Po jednej stronie domki spłoszone, kaprawe, po drugiej ciemny las, a w jego piersi olbrzymiej wielkie przeciągi jesiennych głosów.

Tyle już razy siedł tak człowiek w tych czasach i tak dościgał swój oddział. Tyle już razy zalewał się potem i ramiona sobie przetrzącał dźwiganiem ubogiego dobytku.

Oto z brzękiem i furorem mijają cię wozy potężne, na wielkich kołach, lśniących jak ciemne gwiazdy, oto mocne, spasione konie dmuchają ci na kark ciepłem swej siły, oto ludzie szerocy, jak wielkie kufry jadą na kołach wygodnych, — ty zaś uwiązany do swego ciężaru, przemykasz prawie chyłkiem po tej samej drodze, a oczy końca jej nie widzą.

Tak wlokąc się i kwapiąc znalazłem się w gęstwie śpieszących przez szosę niemieckich słów, zdań, zwrotów. Żadna zaś mowa o zmroku nie dźwięczy, jak niemiecka, która zgrzyta i przydechami szeleści, jakby się człowiek posuwał w chmurze wron.

Wyszedłszy z zakrętu drogi spotkaliśmy pogrzeb, który odbywał się na skraju lasu. W świetle łuczywa widać było orszak hełmów sunący poprzez gęste pnie, — między hełmami płynęła trumna oblana złotym blaskiem. Za chwilę przystanęli wpośród krzyży i nagle, jakgdyby z tych hełmów błyszczących, z płaszczy kamiennych,

z długich kosmyków łuczywa wyłupał się śpiew chropowaty, który twardym załosem poszedł przez lasy...

Umilkł.

Wszystkie kaski zbiegły się w wianek połyskliwy, upleciony nad wykopanym dołem, a wtedy rzekłbyś z dołu tego, właśnie jeły bić w górę kraczące słowa przemowy.

Wiemy, że to się dzieje wszędzie, gdzie ci Niemcy idą i walczą, że tak samo niosą te trumny przez las tu, jak w Małej Azji, we Francji, w Rumunji, i nad Bałtykiem. Tak samo szybko kraczą nad dołem i tak samo niby złote oczy jednej wielkiej zbrodni błyszczą cicho po lesie...

Nareszcie minąłem miasto, wchodząc w olbrzymi kontyngent baraków.

Zaraz tu swoich poznałem!

Siedzieli za szybami okiennymi przy wątłem świetle, całe pęki krótko strzyżonych, młodocianych głów, — schyleni nad pisaniną, czy nad poprawą rysztunku.

Tu dowiedziałem się, że stoimy w barakach, w których przedtem więzione były zbuntowane dywizje ba-warskie.

Od izby do izby w poszukiwaniu mego bataljonu.

Tu się też dowiedziałem, że od swego nasi nie ustąpili. Generałowie do nich przychodzą, namawiają, radzą, że mogą być legjony i bez Piłsudskiego, — a żołnierz nic, tylko słucha, słucha, a potem nagle wrzaskiem potężnym wystrzela, że aż się mury trzęsą i wrzeszczy —: Niech żyje Józef Piłsudski!

Wszędzie ci nasi żołnierze, pełzający po norach, sku-

leni, zmęczeni, senni. Jakby się to wszystko po ostatnim wysiłku układało na sen, coraz mniejsze, pomięte pokurczone, prawie tyle miejsca zajmujące co plecak.

Jeszcze tylko w czwartym pułku uczta się przydażyła na cześć Piłsudskiego i Roji, jedyne go z brygadjerów, który kroku w tym buncie dotrzymał.

Więc okrutne śpiewy i trąby orkiestry pułkowej jerychońskie, i zdrowia, w których człowiek wszystkie siły z siebie wyrzaskuje, a potem długie chodzenie do księżycy pod rękę z przyjacielem, a z wielkim bólem wszystkich marzeń stłumionym w piersiach. Z oczyma w blask łagodnego światła utwionemi, z sercem porażonem nagłą, oschłą wiadomością, że major Fleszar zabił się w szpitalu niemieckim w Słonimiu.

Nasz dowódca VI bataljonu I Brygady

Zdaleka od stacji donosił się aż tu ciężki głos zderzających się wagonów, głos twardy, rzekłbyś, jakichś pięści zwieranie, szerokich i żelaznych. Poprzez ciche powietrze, poprzez deszcz kropel ściekających na rozmaite przemiany w nieprzebraną ciszę lasów; poprzez lasy, które tak lekko oddychają teraz zimnem powietrzem wieczności; poprzez białe łaty pierwszych śniegów, miękających w rowie, tak szybko i na zawsze, — zrywał się ów metaliczny trzask zderzenia, jakby to dłonie jakoweś straszliwe zacierały się złowrogo.

Czyż istotnie nie byliśmy wówczas, niby liliputy zsypane w dłoń potwora?

Nikt się nad tem nie zastanawiał. Snuliśmy wiadomości, które się tu do nas przedarły, że tam w kraju robi się Polskę, że tapetowane elektrycznymi guzikami,

że obwieszono rurką telefonu wszechwładne komendy ocknęły się nagle i przemówiły i że je do tego przynaglił nasz krok szalony, to jest ten, gdyśmy krwawe łachmany mundurów na szalę rzucili razem z naszymi dymisjami.

Lecz znów i te myśli rozpędzał nam krwawy czyn Fleszara.

Dlaczegoż zginął major na samym progu nowych i lepszych może czasów?!...

Było w tem jakieś natchnienie niepojęte, jakiś polot bolesny, jakaś niecierpliwość najszlachetniejsza... Jak gdyby ten chory sok, który się w nas wszystkich zbierał, — zawarł pan major Fleszar wszystek w swej piersi i jakby ta fala piołunu cała w nim jedynym zebrana, — porwała wszystkie tamy ciała i duszy jego.

Chodzimy długo po nocy, nie wiedząc gdzie i którym sposobem przez tę poświatę pierwszej zimy, przez mgły spłoszone i mrozu białe oddechy, — wdzięczność naszą za tym duchem wysyłać.

II.

Jeszcześmy się nie otrzęśli z tego święta w czwartym pułku, jeszcze się niejeden pomiędzy barakami włóczył, stukając do tych lub do tamtych drzwi nadaremnie, gdy nagle zakołysały się i wzburzyły wszystkie nasze dowództwa...

Z komendy Legjonów gruchnął fonogram, że już, zaraz, pułkownicy meldują się, zbierają i do Warszawy jadą, bo się tam Polska zrobiła.

Polska prawdziwa, po świecie głośnemi depeszami telegrafowana!

Zaiste z każdego z nas spada gruby lód, chyba drzewami jesteśmy, z których nagle, za wymówieniem jednego słowa, tryskają całe różgi nowych pędów strzelistych!!

Polska, której głosem młodości przysięgliśmy pod Oleandrami, którą głosem udręczenia pozdrawialiśmy w tyłu bitwach, która się później w zmiennych kolejach wojny niedościgłym dymem okryła, którą nam co dwa miesiące obiecywał N. K. N., — a myśmy odpowiadali, że nam Ją przywiezie na austriackiej podwodzie, z wędzonym boczkem i z cykorją.

Czyśmy się teraz cieszyli? Jeżeliby słowa mogły mieć skrzydła, lub barwę, lub dźwięk...

Wprost przeciwnie, raczej staraliśmy się nie mówić... Gdy jest nareszcie wyzwolona, niech sobie buja wolność naszej Ojczyzny i niech się za nami nie ogląda, któryśmy gotowi siedzieć gdzie bądź na skrawku miejsca, za wszystkimi obrębami chwały i ceremonij, chociażby tu w tem srogiem obozowem więzieniu.

Dobrze nawet, że nas ciężkie trzymają więzy, tem pewniejsza poręka przyszłości...

Bo doświadczenie uczy i zawsze tak się działo, że nie ten zbiera, kto sieje.

Nie zbierajmy!

Z pustemi odchodźmy rękoma, by się jeszcze lepiej potwierdzić mogło, żeśmy się trudzili, siali i że wschodzi nasza robota.

My we dwóch też: Ja z moim młodszym bratem poszliśmy osobno pod rękę, drewnianym chodnikiem bara-

nowickiej ulicy, aby uczcić ten dzień, do najlepszej „renomowanej“ kawiarni.

Mieściła się ona u żyda, w nędznym murowanym domku, otoczonym kupami śmieci i nawozu. Zajęliśmy tu, by uroczystie spożyć podwieczorek, spleśniały salon z czerwonymi meblami, z niebieską tubą gramofonu w kącie i z obrazem rozkraczanego jelenia, w złotych ramach przez jęgrów zabijanego.

W wilgotnym pokoju, przy blasku świec, nad szklanymi herbaty, jedząc osobliwe ciastka z drzewnej kory, — pęcznieliśmy od szczęścia.

Wszystkie słowa najgłupsze nabierały donośnego znaczenia przypowieści... Mięszało się nam od wspomnień wojennych, kipiała pamięć teraz nagle do dna otwarta, aż do najdawniejszych, domowych czasów.

Jedne i drugie, wojenne i rodzinne, leciały razem w mrok przez kupę śmieci, przez ludzi i przez lasy i przez całą naszą dolę. ku temu białemu brzegowi szczęścia, z którego zaczyna się i do którego wraca wszystko: Ku białemu brzegowi kaftana naszej matki.

Jakże to dawno już oderwaliśmy się od niego, od złotych kłosów na białej haftowanych pole i oto gdzieśmy przyszli? W te lasy i rozłogi, gdzie odpoczywamy przy mętne światło, wonią koni i żelastwa przejęci, głodni i brudni, jak parobcy, — a tak szczęśliwi!

Ale radość nasz była, że się tak wyrzę, prywatna. Nikt się od żołnierza Pierwszej Brygady nie doczekał wesolego hałasu przed oknem oblesnych sprzymierzeńców.

Prawdziwe słowo i rozkaz i wiadomość o Polsce nie

zostały nam zbuntowanym żołnierzom ogłoszone piątego listopada i nie powiedziały nam tego żadne telegramy przez cesarzów podpisane, lecz list Piłsudskiego na ręce Śmigłego do nas.

Zebraliśmy się przedpołudniem, cały pułk, aby wysłuchać. Miało się to odbyć w paradzie, ale niech nam nikt paradą głowy nie zawraca!

Złamaliśmy całą paradę, czworobok się wkląkł, sam nie wiedział kiedy i z całego pułku naszej piechoty zrobił się zwarty szaniec.

List był o tem, że nam Komendant dziękuje, żeśmy wiele dokonali, że jednak teraz, chociaż jego nie będzie, gdy Ojczyzna powstaje, mamy wrócić do pułków, najsurowszą dyscyplinę biorąc sobie za wzór.

Trudno powiedzieć, żeby nas list Komendanta nadto ucieszył. Było nam żal, że nas Piłsudski dalej nie prowadzi i nie mogliśmy zrozumieć, jak się to ma dziać, że dla nas wszystkich jest miejsce w tej powstającej Polsce, a dla niego jednego tego miejsca tam brakuje.

III.

Minęły jeszcze dwa, trzy dni i już zaczęła Komenda Legionów sypać rozkazami do odmarszu.

Wiedzieliśmy już, że wracamy do Polski, że nareszcie staniemy tam załogą po dwóch latach wojny. Zaczęły się teraz szachry straszliwe, bo skoro się związki brygad rozluźnić miały na miejsca postoju poszczególnych pułków, trzeba było i każdy pułk musiał udzierać i rwać ze swej

strony, ile się tylko dało. Ze względu na oddawanie majątku austriackiego i konieczne wyrównanie rachunków wielki powstał ambaras.

Jakże tu w dwa, trzy dni wyrównać przebrane dawno mięso, jakże tu wyliczyć się z zapasu porcyj żelaznych, zjedzonych dawno temu, jakże wybrnąć z tego, z czego nikt na ziemi ani na niebie ani nigdzie, nigdy nie wybrnął, — a mianowicie z rozdziału koni pomiędzy wojskiem polskim?

Zaczął się więc garus i ciąganie dobytku na wsze strony i żalosne wodzenie koni z kwatery na kwaterę. Rachmistrze latali z komendy do komendy, pożerając całe stosy smalcem i liczbami poplamionego papieru...

Mogłem się z tego szczęśliwie wywinąć, zaproszony w delegacji na uroczystość 1 pułku ułanów.

Wyruszyliśmy koło południa, z oficerami kawalerji, w nadziei, że jak konie dobrze pociągną, to na wieczór staniemy u celu w Iwanowicach, gdzie leżeli na wypoczynku Beliniacy.

Wkrótce minęliśmy srogie urządzenia wojenne Niemców i całą wieżę babelską wszystkich urządzeń towarowych, domów z owsem, gór mięsa, piramid kaski, krup i amunicji.

Zaczął pomykać z obu stron drogi kraj luźniejszy, bardziej do samego siebie i do spokojnej ludzkiej pracy podobny. Wzgórza falujące i jak węzeł szarego powroza, rozwiązany pośród nich splot leniwych ścieżek i dróg. Trochę pola, ugoru, skrawki szmaragdowych strzępów oziminy a potem znów całe padoły nieurodzaju, splątanych cierni i głogów. Chaty niskie, cudem niepojętym

od wieków na własnej słabości wsparte, około nich pokruszona wszędzie uboga codzienność. Z kijów plecione przełazy, które czegoś chronią i coś grodzą swym gładkim piszczelem? Drzewa samotne, które kogoś czekają z cieniem swym rozciączonym, gdy nikt pod niemi nie mija?

Oficer mi powiada, że jedziemy przecie krajem Mickiewicza, — tu zaraz niedaleko jest Nowogródek, a znowu indziej w sąsiedztwie Świteż, jezioro. I że ich, naszych kawalerzystów, Mickiewicz „zbujał“, bo cała ta Świteż jest takim samem jeziorem, jak każde inne. Badali przecież to jezioro, na rachunek Mickiewicza wjechali do wody, koniom po brzuchy, lecz mimo to nic się osobliwego nie okazało.

Gdy sobie uzmysłowiłem, że istotnie jedziemy ziemią Mickiewicza, jakby coś wionęło mi przez oczy i już we wszystkim, na co spojrzę, drżą słowa tych wierszy niezapomnianych. I we wszystkim, co z jednego w drugie przechodzi, gdzie się łączy nikły szum pól z mocnym głosem lasu, i gdzie się ziemia z powietrzem styka i na wszystkich granicach horyzontu i wszędzie, gdzie się drogi gubią, czy zaczynają — wszędzie się już plecie i powtarza ten rytm...

Z naszej drogi wydobyliśmy się na trakt, który był właśnie dawnym traktem Napoleońskim Wielkiej Armji.

Zsiadliśmy z bryki i aby uczcić starych żołnierzy, co się tędy wlekli ongiś, poszliśmy spory kawał piechotą, raz po raz przystając. Obzieraliśmy się na wszystkie strony, aby pilnie zapamiętać te miejsca trudów i znojów, tak sławnych w przebiegu świata.

Szeroka na ziemi, ogromna w historii droga płynie

wśród ścieżek pól i pagórków. Ściele się tu gruda rozdeptana i jak wszędzie kruszą ją wciąż zwyczajne stopy przechodnia. W rowie przydrożnym, jak wszędzie, gnije zbutwiały liść, a zeschła gałąź włóczy się między drzewami zwyczajną swą koleją. Pod tysiącem brózd tai się tysiąc strzępków cienia i czegożby szukać w koleinie kół, tak splątanej i codziennej?

Dopiero gdy noc zeszła, gdy trakt oprzędły długie smugi wichru, a wierzby stuletnie do ptaków stały się podobne olbrzymich, w blasku księżyca piórami szeleszczących, — zdać się mogło, iż jest to zaprawdę miejsce wielkiego spotkania, którego strzegą przeogromne pułhacze, rozsiadłe właśnie tutaj, — na brzegach przeznaczenia.

Zajechaliśmy na folwark Beliny późnym wieczorem. W miłej gościnie strawiliśmy czas na siedzeniu przy ogniu i na gadaniu o wszystkim, co się żołnierzowi przez głowę przewija, gdy późny płomień trzaska na kominie, a sławę uciulało się małą, przebywszy wielki trud, i przyszłość ma się w zanadrzu niewiadomą, tyle tylko w owej przyszłości pewnego, ile daje niewola.

Na drugi dzień mszę się odprawiło przy ołtarzu polowym, umieszczonym w okopie. Było czytanie ostatniego rozkazu przed wymarszem do kraju, po dwóch latach legjonowej wojny, była rewja pułku, zbieranego przez tyle bitw z takim trudem, wreszcie z szarakami z zaścian-ków gorące bratanie.

Tuś dopiero widział, jak się Polska po tych kresach rozsiała! I jak się trzyma na strzępach posiadłości.

Zagarnęliśmy to wszystko razem, panów różnych z paniami wiecznie spłoszonymi, na bryki, na powozy i ka-

walkadą ruszyliśmy do wsi między chałupy, szmaragdem mechów obrosłe, do tego w obejścia, które bucha dymem głośnych smalców od rana, i gdzie przy piecu potwor-nym ułani w czerwonych rabatach, jak djabli, smażą ucztę, smoląc, pieprząc i soląc.

Na tej uczcie, gdy ci zimno stopy mroziło, głowę zaś gorąc obejmował, a znów za gardło dym papierosów chwycił, — dopieroś Polski uświadczył, zwłaszcza, gdy na dobitkę wszystkich dobitków stary Polonus podniósł się i błogosławiącym głosem wydobył z siebie wiersz, wobec tej obcej potęgi, po nocach bezsennych układany.

I gdy wkońcu oczyma potoczywszy z samego zda się płaczu zrobionemi, wyrzwał się ów Polonus w starą, pustą pierś suchemi, niby grabie rękoma, oraz zawołał:

— Ja, panowie, pana Piłsudskiego nie znam, ale myśmy słyszeli, ale my wiemy, co to jest Sybir, ale my was widzimy, waszą biedę i krew!

Tuś dopiero moresu nabierał, gdy wszystkie żubry naraz płakały, a orkiestra ułańska w tklivości ostatecznej darła się piekielnie ze wszystkich tręb.

Wysypaliśmy się na wieś i lud ze szlagonami hołubili, głodnym dzieciom, w cienkich spódniczkach dając torty, kanapki, kawior i papierosy.

Potem pędziło się galopem, na cześć starego kresowego płaksy, który w tej okazji całkiem już przy stole oblużował się i płakał wielką mowę cztery godziny, podczas, gdy my z wielkiego entuzjazmu przez płoty i rowy skakaliśmy.

Już jak uczucie, — to uczucie.

Długo się tak jeździło i żegnało, i wodom Świtezi wy-

myślało, gdy oto nagle syknął z Komendy Legjonów rozkaz, że Jego Królewska Mość król Leopold Bawarski, dowódca wojsk, przed oddaniem z frontu Legjonów chce oglądnąć tę przyszlą polską siłę zbrojną.

Nikt defilady nie chciał, bo ludzie butów nie mieli, a mrozy szły w lasach baranowickich i pluchy coraz gorsze, i wiatry ostre, bardziej na żołnierza zawzięte, niż psy.

Tam sobie na górze odmierzyli, postanowili, a tyś jest co? Tyś jest szara masa, tyś jest klej, kit, czy ołów, który musi się wlać w te ramki.

Na dzień oznaczony pogoda ustaliła się tak straszna, że serca najostrzejszych dyscypliników się pościskały. Śnieg szedł obfity, kratką, to w prawo to w lewo, potem jeszcze trochę wykręcał w różne strony, nawet pod górę padając, aby się wkońcu poziomą fastrygą wyciągnąć między niebem i ziemią bez żadnego wyczerpania.

Wołajże tu, komenderuj, gdy głos nie niesie, obok ciebie zaraz pada, na trzy kroki nie odleciawszy.

Wyszliśmy z naszych nor i schowków wszystkich, w pełnym rynsztunku, zaczęliśmy ciągnąć pod górę, ku tej stronie, gdzie w podległym czworoboku lasów rozciąga się olbrzymi plac ćwiczeń. Pułki nie powychodziły na swe miejsca, bo się wszelkie ślady w śniegu pogubiły, a mgła wilgotna legła na wszystkim, tracąc do niepoznaki wszelkie zakroje lasów.

Tedy z jednego ustawienia w drugie, z wielkim mozołem przez kępy śliskie, przez wody, przez lód rozdrobniony, ostro, jak szkło.

Adjutanty gonią na koniach, podobne słupom śniegu, gdzieś zdaleka pokazuje się wysoki mur kawalerji, a z ponad kasków wieje im ku górze kryzą niesamowitą dech szronu.

Pułki błędzą, przewalają tędy i siędy, łączą i rozłączają, nareszcie wszystko się jakoś utrwaliło między pogonią wichru na tem szalonym miejscu..

Biała śniegu fastryga pędzi niewstrzymanie, a mgła zasłania, kryje, że wkońcu niewiadomo co ludzie, a co las, co sztywne masy pułków, a co rude polacie ośniewzonego boru.

Adjutanty wyciągnęły się, bo będą znaczyć drogę defilady. Stoją w srebrnych szamerunkach, w wielkich kołpakach futrzanych z sławnego Totenkopfhuzaren-regimentu.

Trąbka jakaś gdzieś pisła, przez wielką mgłę. Jedna, druga dziesiąta.

Coś tam w szanownej oddali jęknęło, chrupło i zakaszlało. W białej śnieżycy węzełek sztabu ściągnął się, zsupiał i znów rozpukł na kilka czarnych grup.

Ktoś komuś dał wreszcie znak, futrzane czapy adjutantów stanęły nieruchomo, — orkiestra w zamarznięte trąby dmie, — głos przez fastrygi śniegu ze złotych blach wylata i oto już idziemy.

Pola nie widać, śnieg sypie, idziemy zamarznięci, — wichura drzewa mierzwi, suniemy sztywni, sini, oczy szronem zabite, twarze wiatrem zsiekanie, powieki prawie zamknięte, — nogi machają wysoko, — lód dzwoni, — trąba dmie, — wichur dołem polatuje, — lasy się pogubiły w zawieji.

Przeszedł pułk jeden, drugi, — ręka pod sznur wywija, — z pod bosej pięty piechura leci gruda zmieszana. Już strugę ciemną, już ziemiste koryto wydeptali. Błoto pryska na srebrne szamerunki, na orły czarne, na haftowane trupie główki, na twarze junkierskie bliznami poznaczone, na dołmany, — adjutanty, stoją nieruchome, — jego królewska wysokość salutuje, — idziemy pasem rozrobionej ziemi, — orkiestra dmucha w zamarzniętą blachę, — z oczu nam łzami płynie mróz, — lasy się z śniegiem gonią po brzegach widnokręgu.

Suniemy wskrós wezbranych wichrów zimy, chlapiąc błotem na boki, na adjutantów, na sztab, w lice królewskiej mości, — sztywni, szarzy, chrzęszczący, — niby zeschnięty las.

Teraz jestem gdzieindziej. Stoję na moście, nad polską rzeką siwą, ludzie nam tu śpiewają nasze strzeleckie pieśni, naprzeciw białe błonia, zboku miasto stare, a dołem, po głębokiej, czarnej wodzie płyną wielkie, zielone kry w zwiewnych wieńcach ze śniegu.

WYPRAWA WILEŃSKA

WYPRAWA WILEŃSKA

1919

Nowy Świat, dorożki, tramwaje, gwar, złote smugi światła, białe mleczyste elektrycznych lamp, Zjazd, wspa-
niałe pudło królewskiego Zamku, który przestronnymi
tarasami, tak godnie zstępuje w fale Wisły, — wszystko
to mija szybko.

Most.

Zimne tchnienie rzeki, niosącej pierwszą wiosnę
z ciemnych dalekości, — nieskładne ulice Pragi.

Już blisko. Widać tu już oddziały piechoty.

Żelazne wozy wojskowe dudnią w mroku, a krańcami
gościńca śpieszą przysadziste podwody z wysokim garbem
oficerskich walizek.

Dworzec Brzeski.

Na wszystkich torach stoją ciężarowe pociągi, ktoś
ładuje jakiś dobytek w ich czarne, czerwonymi ramami
obrzeżone czeluście. Kilku sierżantów przebiega z pę-
kiem karabinów. Jakaś sekcja piechoty włóczy się od
drzwi do drzwi. Zgięte plecy piechurów, upakowane
wysoko, sięgają wyżej głów, migając w cieniu, niby ob-
tłuczone nagrobki.

Na stacji nic nikogo nie obchodzi, każdy zajęty jest

wyłącznie sobą. Jasna rzecz, że to jakiś gwałtowny wymarsz. Nikt dla nikogo nie ma czasu, wszyscy klną.

Gdzie komendant dworca?

Urzednicy kolejowi pokazują, zapewne po raz tysięczny tego wieczora, tę stronę stacji usianą światełkami, gdzie ma być komendant.

Idę tam, po drodze spotykam ułanów, którzy wloką siodła. Strzemiona i sprzęczki dzwonią po bruku. Kawalerzyści, omotani w uprząż, klną straszliwie.

Z mgły i przekleństw wyłania się niespodzianie komendant dworca. Poznać go bardzo łatwo po trzech oficerach i kilku podoficerach, meldujących i domagających się czegoś nieustępliwie.

Udziela mi informacji, a przeplata je wciąż numerami pociągów, transportów, oddziałów i baterji.

— Proszę pana, — mówi, — co się będę chwalił, no nie? My stara wiara, podziurawiona, okryta ranami, — nie dla chwały się to robi. Ale pan sam rozumie, — dwadzieścia pięć transportów dziennie! A do tego żołnierz nasz nie umie się jeszcze wagonować. Ten pośpiech, pannie kolego, ten straszny pośpiech!... Ułani dopiero w Ostrowiu spotkali się ze swemi siodłami! Piechota dopiero tu, na stacji, dostawała karabiny! Dotąd pałkami się gimnastykowali! Proszę pana, ten rekrut nie wie jeszcze, co się robi z ręcznym granatem!! Czy to się bierze w zęby i pali, jak cygaro, czy to trzeba na łufę nasadzić i wystrzelić? Menażek nawet nie mają! Czort znajet! Zamiast menażek miednice noszą pod tornistrami na siedzeniach! Patrz pan na nich ztyłu, każdy blaszaną pełnią świeci.

Przechodzimy na drugą stronę, po drodze wrzeszczę na mego ordynansa, który już się gdzieś zgubił.

Wstąpiliśmy do gospody żołnierskiej, ufundowanej przez panią Paderewską. Duże bielone ściany, piaseczek higienicznie zgrzyta pod butem, wpoprzek świeże drewniane stoły. U skrajów sufitu deseń polnych kwiatów dodaje całej sprawie polotu. Przy kasie miła, biała „ligawka“ i dwaj żołnierze nad nią zwieszeni.

Przysiadm się do oficerów kolejowych, którzy oglądają długą, glansowaną laurkę.

Jest to jubileuszowo wykaligrafowany rozkład jazdy pociągu Naczelnego Wodza na front. Laurka giętkimi zawijasami wypisana.

Jemy chleb z szynką, mój Boże, herbata kosztuje tu tylko dziesięć fenigów!

Nagle zaczynają drzeć szyby, — zajedżdża pociąg.

Nie pociąg, a wspaniała pracownia wojskowa. Chodzimy oglądamy, dotykamy.

U Naczelnego Wodza w pokoju są nawet firanki, fotel, kanapa! Dalej apartamenty mieszkalne, pokój do narad, wszystkie wozy połączone telefonicznie. Osobny wagon z aparatem Hughes'a. Przed małą klawjaturą siedzi tu jakiś pan pośród bębnow z drutami i próbuje swoich arkanów tajemniczych. Nad klawjaturą umocowane jest wrzeciono z błyszczącego mosiądzu, które w czasie pracy aparatu obraca się z niezmordowaną szybkością.

Ten i ów przebąkuje o Wilnie, ale nikt „temu“ nie wierzy.

Naczelny Wódz ma przybyć dziś w nocy i jazda! Dokąd?

Na wojnę, — widać to choćby z tego, że nikt nie wie dokąd i kiedy.

Przespaliśmy w wagonach, czternastego kwietnia obudziliśmy się w Rembertowie.

Znów czekamy.

Nareszcie!

Koło dwunastej w południe przyjechał samochodem Komendant Piłsudski.

Wyskoczył z wozu. W szarym wojskowym płaszczu, naprzód pochylony, idzie ku nam szybko.

Przed nami las szumiący, za nami pociąg, nad wszystkim niebo ciężkie stropione, karetka samochodu pyka u podjazdu, wzdłuż rampy wyszyftowany pluton skautów, którzy stanowią osłonę Naczelnego Wodza. Chłopaکی broń prezentują, my zboku wyciągnięci, jak struny, tylko wiatr poły płaszców odwiewa, — Komendant przyjmuje raport.

— Żebyś wiedział, — mówi mi szeptem kolega, — wszystko tak samo jak na Elbie.

— Na jakiej Elbie?

— Że niby tego owego, nic, wojska mało, jeden plutonik, kupka oficerów, — a potem dopiero ze sztychu wynika, że to była strasznie ważna historia. Naprzykład, powrót Napoleona do Francji.

— To zrób sztych — odpowiadam.

Teraz już jedziemy.

Wszyscy głodni, jak psy. Ogromna uciecha, bo odrazu wołają na obiad do wagonu restauracyjnego.

Zupełny Wersal, — na stołach kwiaty. Nad obrusami, niby roje jasnych muszek niebieskich, — niezapominajki.

Rotmistrz Wieniawa wygląda ciągle przez okno i przy każdej wioszczynie, przy każdej chałupie mijanej, pyta się — czy to już Wilno?

Okazuje się jednak, że z Wilnem niema żartów, — w wagonie restauracyjnym nie wolno palić. Komendant zrobił ślub, że dopóki Wilna nie zdobędzie, nie zapali.

Jest niezwykle ożywiony, jego zazwyczaj blade policzki różowią się lekką łuną. Na skroniach lśni wypukły system żył, a brwi ustawicznie drżą w wesółych, niemal drapieźnych półśmiechach.

Naprzeciw Piłsudskiego siedzi piękny pan Osmołowski, zacny pan Prystor i pan Raczkiewicz. Wszyscy zaciągają z litewska.

Mówi się jeszcze o warszawskich nowinach i sprawach, ale raz wraz rozmowa ta utyka.

Komendant wzywa to tego, to owego specjalistę. Kiedy przejdą wszystkie transporty z piechotą, jak jedzie artylerja? Czy chleb i żywność wporę nadaży? Jak stojmy z amunicją? Kiedy Belina dostanie swoje wagony z owsem? Czy można rozmawiać hughesem z Warszawą?

Jest to właściwie — zbieranie cugli w rękę. Ostateczne ułożenie wszystkich kolejności na szerokim polu działania od Baranowicz po Wilno.

Jedziemy wielkim, smutnym krajem. Po obu stronach płynie szara równina. Niskie, ślepe chaty, jakaś droga urwana, jakieś światło tonące samotnie w mrokach. Na niebie zamek chmur, który rozpada się w nicości zagaśłego dnia. I znów tasiemeczka kusej steczki, biegnąca cicho od głośnego wagonu daleko w pochyłą szarzyznę pól.

Ciągle mijamy długie transporty wojsk.

Wagony, jak ciężkie ptaki, robią na wietrze doczepionemi u dachów czarnemi skrzydłami sośniny, z uchylonych drzwi wozów bucha śpiew młodych rekrutów, a w różowych spoconych kłębach jednookiej lokomotywy, rzekłbyś sama krew kipi.

Wyprzedzamy długie, tak ciche, iż zda się, zadumane pociągi artylerji. Armaty wężą przestrzeń zadartemi wgórę lufami, koło których niby skrawki nocy, chwieją się czarni kanonierzy.

W pociągu wre normalna praca sztabowa. Oficerowie operacyjni ślęczą nad szeleszczącemi mapami, na których koło Lidy, Baranowicz i Wilna, rzekłbyś czarne i niebieskie kłosa, wiją się strzałki różnych kierunków marszu. Telefon woła z wagonu do wagonu, a w plutonie osłony, złożonym ze skautów, wszystko, jak w polu. Któryś z żołnierzy dłubie coś koło puszki z konserwą, jedni śpią, drudzy gonią młodemi oczyma drżące w głębokościach nocy, czerwone iskry lokomotywy.

Obudził mnie ostry, wojskowy głos raportujący ilość bataljonów, bateryj, szwadronów.

Wyjrzałem przez okno.

Był wczesny ranek. Przez mgłę, czy parę lokomotywy szarzał równy gont czapek, prezentującej broń, kompanji honorowej.

W pośrodku stał generał Szeptycki i równo, wyraźnie składał raport. Piłsudski naprzeciw w płaszczu, w rękawiczkach, przy szabli.

W głębi rozbity dworzec z polskim napisem — Skrzybowce.

Poodał, na klombie, dzwoniło uzdą kilka koni i dyssał spocony samochód. Dalej żółta droga, kilka chat, przysiadłych we wgłębieniu, ciemny kraj lasu, dwie białe wieże jakiegoś kościoła.

W pierwszej chwili zdawało mi się, że śnię: Mgła, czy para, raz w raz przesłaniała dowódców. Szary zrąb piechoty, to się twardo wyszczególniał, to nikł. Lub znów widziałeś dokładnie twarz każdego szeregowca i każde drgnienie ust generała Szeptyckiego, rzucającego w senną ciszę poranka cyfry bataljonów, szwadronów, bateryj.

W okrągłym, ogromnem szkle powiększającym, które adjutant generała zawsze za nim nosi, odbijały się leniwe chmury litewskiego nieba, podobne w kryształowem przezroczu do pulchnych naleśników.

Wkrótce nadjechał generał Lasocki, mąż średniego wzrostu, o twarzy zsieczonej wiatrem i mrozem w siateczkę czerwonych żyłek. Jeszcze za chwilę generał Rydz-Śmigły taki sam, jak zawsze, lekko uśmiechnięty, silny i spokojny.

Generałowie poszli na naradę do Komendanta, myśmy zaś przysłuchiwali się z żywą ciekawością procesowi, jaki powstał między podpułkownikiem Beliną, a szefem sztabu generała Lasockiego, kapitanem Wolffem, o baterje.

Otrzymały już rozkaz te baterje, czy nie otrzymały, — tak, — ale można je zawrócić, — nie, — już są zadyrygowane gdzie indziej.

Kłótnia o baterje, o jeden, drugi bataljon rezerwy, to charakterystyka wielkiego przedednia bitwy w każdym sztabie.

Kłócimy się już całą gromadą.

Ciągle przechodzą obok, wzywani do Naczelnego Wodza, odnośni referenci. Mistrz polskiego kolejnictwa wojkowego major Brzozowski, w skórzanym kubraku, kroczący rozważnym krokiem Sherloka Holmes'a, — podpułkownik Stachiewicz, kwatermistrz Roztworowski, który tyle ma kłopotu z chlebem.

Jadą pełne wagony. Chleb w nich stoi kolumnami, jak świeża cegła w cegielni, ale tego wszystkiego za mało. Zwłaszcza, że aparat Hughes'a jakoś jeszcze nie działa, połączenia telefoniczne z najbliższą stacją nie funkcjonują. Każdy pociąg puszcza się jeszcze z wielką niepewnością i szczerze mówiąc, — na „warjata“.

— Dwa transporty wysyłamy — objaśnia kolejarz wyraźnym lwowskim akcentem, — i czekamy, aż jeden wróci, wtedy znowu... I tak się, panie kochany, kołomaci.

Połączenia telefoniczne, Hughes, transporty... Jakże dokładnie widać teraz ryzyko wielkiej operacji bojowej. Jedno niedociągnięcie, jedna niedokładność, a najlepszy plan przemienić się może w klęskę.

Belina tłucze prętem po cholewach, że, jak nie dostanie owsa, — nie ruszy. Konie od wczoraj stoją o suchym pysku.

Nikt w to nie wierzy, każdy wie, że na pewno żarły, że tam jakiś zapas na pewno jeszcze jest, — któryż ułan miał kiedy dosyć owsa?! Ale ostatecznie trudno, by brygada kawalerji ruszyła marszami kilkudziesięciowiestowymi, bez furażu, nie nakarmiwszy koni.

Dziś rano miało przyjść piętnaście wagonów owsa. Ciągle ktoś wygląda w stronę, skąd nadchodzi transporty.

Nic, — cisza... Sosny machają gałęziami nad torem, wrona jakaś przeleci po plancie.

Na dobitek tego wszystkiego dowiadujemy się, że most na rzece Dzitwie jest zerwany. Dłubie tam koło niego dziesięciu zbieranych niewiadomo skąd ludzi, wydziwia tam podobno nad nimi jakiś wyższy oficer od saperów, — ale ileż tego mostu uciupią przez dzień?!

Most musi być gotów pod ciężkie wozy jutro o świcie.

Major saperów, szuka gorączkowo po całym froncie jakiejś kompanji saperskiej, szuka konno, samochodem, wszystkich spotkanych oficerów łapie za guzik, ale któraż grupa, dla powszechnego dobra, pozbawi się swej własnej saperskiej kompanji?

Wreszcie znużony bezowocnymi wysiłkami rzuca się oficer saperów do aparatu.

W telefonie słyszysz grupę Zaniemeńską i zwołujące się baterje i kilka ostatnich słów dywizyjnej dyspozycji i kłótnie taborytów i jakąś komendę pułku. A w środku zrozpaczone wołanie:

— Nie przerywać! Rozmowa sztabowa! Nie przerywać!

Belina chlaszcze się prętem po cholewach, owsa jak niema, tak niema.

Jakże to będą sły te konie bez owsa przeszło sto kilometrów?!

Ostatecznie, w miarę rosnących niepokojów dnia, powstają dwie szkoły: Jedna twierdzi, że wszystko idzie normalnie, druga, że kto wie, czy nie lepiej było?... Tak, ma się rozumieć, takie rzeczy trzeba było inaczej przy-

gotować! Trzeba było wpięć zapasy żywności, amunicji, a potem dopiero pchać transporty z wojskiem.

Wyznawcy tej szkoły patrzą z troską i współczuciem na nowo nadchodzące pociągi.

— Bo żeby to jeszcze bił się stary żołnierz — mówią — ale to przecież rekruci. Do cholery jasnej — sami rekruci!

Rekruci owi jadą na wojnę z pięknym animuszem. Wszystko jest dla nich nowe, wszystko ich bawi, zajmuje, śpiewają, hałasują, czepiają się wagonów, skaczą po dachach, jak małpy czepiają się drzewczek, stopni.

Rozpytujemy urzędników o kolejność transportów.

Jasne już jest zupełnie, że owies przepadł, jak kamień w wodę. Na tym drobnym szczególe może się wszystko przewrócić. Uderzymy na Lidę, Nowogródek, Baranowicze, a tymczasem Belina nie ruszy z miejsca. Siły bolszewickie z Wilna opamiętają się, zbiorą, ściągają i spadną na nas z północy od flanki...

Pojechałem w odwiedziny do dywizji Śmigłego, może przez ten czas, owies sam się jakoś znajdzie?

Na kolejach, na drogach, na rozstajach widnieją jeszcze napisy niemieckie. Ostatnie znaki, ostatnie sztywne słowa strzaskanej potęgi niemieckiej.

Błoto na trakcie nie do przebycia. Ciężarowe automobile wbiły się w glinę, dyszą, sapią, warczą, kurczowo kręcą wielkimi kołami, o cienkich nerwowych szprychach, — ciągle w miejscu.

Ogromne konie, zaprzężone do haubic, przęą grzbiety i aż nozdrza różowe pokazują w wysiłku. Skrajem rowu sypie się gęsiego długi różaniec piechoty.

Podjechałem dalej, znachodząc się nagle, jakby w całym innym świecie — tak piękne, szerokie i zadumane są te drogi litewskie. Po obu stronach rosną stare brzozy płaczące, gęstwa ich znużonych, zda się obolałych gałęzi, powiewa smugą żałobną.

Trakt się uchyla, znów wynosi. Tak, jakby stąd przed chwilą odeszła nieodżałowanej dobroci pełna obecność jakowaś, za którą ziemia opuszczona tęży się sama i wyciąga.

Na prawo czyjs pałac wspaniały, w którym był szpital epidemiczny. Wszyscy dziś stronić muszą od ozdoby tych murów.

Śmigły ze sztabem swym stoi w starym dworku, który jest tak piękny, tak zacisznie skulony, starym krzewem obrośnięty, takie ma spracowane filary podjazdu, tyle kłopotu mieści pod sklepieniem gontowego dachu!

W dywizji praca ogromna.

— Tam w kadrze żaden z nas nie przypuszczał — mówi mi adjutant — że tak prędko wyjedziemy. Na trzy godziny przed załadowaniem nie miałem jeszcze nic w mojej kancelarji. Takiego bałaganu świat jeszcze nie widział! Konie, maszyny do pisania, broń, — przecież nasi rekruci do ostatniej chwili ćwiczyli się po cywilnemu laskami. Dopiero dwunastego kwietnia oblekło się ich w mundury!!

Słuchałem tego wszystkiego w szarej, drewnianej sieni dworku, przy piecu z przepięknych kafli holenderskich.

Przez drzwi widać nerwowe gałęzie owozowych drzew. Jakiś stary „Giedymin“, chłopek w parciance, orze między

rzędami pni, pług błyska wśród razowej skiby, czarny spocony koń tupie po niebieskiej murawie.

Wróciłem do Skrzybowiec wieczorem. — Owsa wciąż niema.

Ostatecznie zdecydowano oddać cały zapas, który dla swych kilkudziesięciu koni przywiozła Naczelne Dowództwo. Starczy tego na jeden raz zaledwie, ale trudno.

Późnym wieczorem ruszyły ku Belinie cienkie, skrzypiące podody, aż opiekle od grubych worków, które widniały w mroku, niby białe, wzdęte kadłuby, cierpliwie wiezione na pożarcie.

Poszedłem do wsi, skąd przybyły podwozy. Wieśniacy żyją tu w nędzy ostatecznej, o chlebie prawią z nabożną tęsknotą, z jaką się mówi o wierze upragnionej.

Przy blasku cienkiego smolaka, uwieszonego nad okapem w cieniu szarych krosien, niby w mroku szarego losu, czekają wciąż na jakieś zmiany, aż nadto świadomi swych utrapień i nieszczęść.

POD LIDĄ

Dnia 16 kwietnia rozpoczął się gorący bój na całym froncie!

Dziś atakujemy ostatecznie Baranowicze, dziś mamy uderzyć na Nowogródek i Lidę. Dziś odczepia się od frontu, zwróconego ku wschodowi, grupa kawalerji pod Beliną, piechota generała Śmigłego i suną razem szybko na północ.

Marsz ten jest ryzykiem ogromnem. Mogą być wzięci we dwa ognie, od wschodu i od zachodu. Lecz jeśli się uda, — to zdobędą Wilno, odcinając tyły wojskom bolszewickim, które stoją na zachód od linii miasta.

O świcie popędziliśmy samochodami ze Skrzybowiec ku frontowi, obejrzeć stan mostu na rzeczce Dzitwie.

Połowa mostu dobra, — dalej zerwany.

Naczelny Wódz stoi rozkraczony na zerwanych prześłach i słucha raportu oficera, kierującego robotami.

Położenie bardzo trudne: — Wojska rzucone już są poza rzekę, ten most musi stanąć najpóźniej za ośm godzin, gotów pod wielkie ciężarowe wozy, — a tu niema ludzi do roboty.

Przed nami widać wśród lasu szosę, wiodącą do Lidy,

zawaloną przez bolszewików barykadami ze starych sosen.

Poodał omszały dwór, schowany w suchym pęku brzoź. Z lewa piachy i jakieś powikłane bezdroże. Deszcz tnie nawskos, słychać szemranie po liściach, a z prawej strony toczy się głucho daleki, daleki huk dział.

To Szeptycki bije na Baranowicze.

Piłsudski stoi nieruchomo na wiązaniach mostu. W szarym wojskowym płaszczu, siwiejący, o twarzy szarej, matowej, wygląda jak posąg, ulany ze spiżu. Wreszcie zaczyna mówić krótkimi urywanymi zdaniami. Zupełnie jakby nie słyszał tego, co mu meldował przed chwilą oficer saperów.

— Już późno — mówi Naczelny Wódz niecierpliwie przez gęste wąsy. — Most musi być na dziś wieczór gotów. Inaczej nie zdążą tabory.

Ostatnie słowa tętnią i drżą, jakby się paliła pierś, która je wyrzuca.

Odjeżdżamy. Oficer saperów zostaje na moście, wobec porwanych przesł i dziur. Żaden z nas nie ma już teraz wątpliwości, że ten most stanie. Po tych kilku słowach Komendanta, na pewno znajdzie się jakiś sposób.

Wracamy szosą, potem jeden skręt i znowu drugi i jeszcze nadół, zboczem i, — doprawdy jakbyśmy się dostali nagle w obręb dawnych, rycerskich snów...

Przed chałupami dogasają ogniska, konie zebrane w wielką, przy pyskach ujętą rozetę, depcą po placu. Rzekłbyś, — całą miejscowość dreszcz wstrząsa, tak dźwięczą szable i ostrogi we wszystkich kątach i zauł-

kach. Ułani majstrują jeszcze przy uprzęży, a w chromych wrotach pod strzechą, tak niziutką, że poszycie jej czapki żołnierzy głaska, stoi na czele gromady oficerskiej Belina.

Naczelny Wódz pogania pułkownika:

— Prędeż, prędeż, już godzinę temu powinniśmy byli przejść rzekę.

Niebo szare i mętne przynosi aż tu huk dział od strony Baranowicz.

Tam się już biją na dobre.

Piłsudski stoi przy moście, — pułki już siadły na koń, zaraz ruszają.

Na dole wąskim, szarym meandrem srebrzy się rzeka przez rude mchy, — w górze nad nami bekas się wywrócił w powietrzu i odleciał. I jeszcze nic, nic jeszcze, zbierają się tam po chałupach, podwórzach, sypnęli kurzem po pastwisku — i już jadą!

Jadą ulany, co się od lat tłuką na koniach, przybyłe z rozbitych, umarłych regimentów różnych cesarzy strąconych, zbratane teraz oto w nowe polskie pułki. Ciepło bucha od tych szeregów, skóra uprzęży chrzęści niby zwoje jakiegoś drapieżnika, podkowy głuchym gradem biją o most, głowy skręcone w stronę wodza, — dołem po rzece płynie wiosna poranka, górą po niebie toczy się jęk kanonady. Mijają plutony za plutonami, szwadrony za szwadronami, — stare kubraki huzarskie, modre portki dragońskie, czerwone bufy ułanów, siwe rajtuzy leguńskie. na szablach kaukaskie srebro, albo pruskie gardy, albo plecionka austriacka. Cześć żołnierska grubemi paluchami przykładą się do daszków czapek, —

dywizjon za dywizjonem falujący, poddaje się w kłusie humorom konia.

Każdy oddział na kilkadziesiąt kroków przed Wodzem wyrzuca wielki okrzyk:

— Niech żyje Komendant Piłsudski!

— Niech żyje Komendant, — wołają ogorzałe szóstki ułanów, aż żyły czarne pręży się im na skroniach i szyjach.

Mijają w okrzyku tym, niby w gromkim obłoku srogiej sławy wojennej.

Widać ich jeszcze na piaszczystym przegonie, a potem już zamknęły się za nimi rzędy brzoź. Już nie słychać łomotu kopyt, tylko się okrzyk jeszcze wśród mgieł przewraca, pomieszany z biciem dział od strony Baranowicz.

Wypadło, że rotmistrz Kniaziolucki i ja jedziemy z poleceniem do generała Lasockiego. Przez telefon nie sposób dogadać się. Rekruci źle łączą, sznurek za sznurek zaczepiając, — bigos, kasza, — nic nie słychać.

Rypiemy samochodami przez kulawy mostek na rzeczce Dzitwie, sosnowym zagajnikiem i wielką szosą, nad którą już tańczą białe łby armatnich pocisków.

Tu dwóch szeregowców, tam znów jeden, znów owdzie jakaś gromadka, oberwana, spłoszona, wymięta.

— Co jest? Skąd?

— Porucznik zabity... Nasz komendant kompanji zabity... Podporucznik ciężko ranny...

— Z której jesteście kompanji?

— Z siódmej.

— Z którego pułku?

— My z Suwalskiego pułku. Nas rozbili.

Tych rozbitków spotyka się w każdym boju. Wodzą się wzajem za linią walczących, świadczą sobie żałośnie i odprowadzając się po dwóch, po trzech i roznoszą hiobowe wieści.

Samochód ugrzązł w błocie, biegniemy ku wsi. Pusto zupełnie, niby w niedzielę, czy w wielkie święto. Rzekłbyś cała ludność wyszła.

Ona zaś nie wyszła, tylko przycupnęła tam i sam, wystawiając czujki. Oto tu pod krzyżem stoi chłopiek i kijaszek jakiś czarnymi pazurami z kory odziera. Owdzie przed chatą majstruje przy płocie inny chłopiek. Niby zajęty okrutnie swą robotą, a tymczasem — patrzy, słucha i węszy.

Tuż przed wsią spotykamy oddział osobliwy, rzekomo cywile, bo w płaszczach, melonikach, w długich spodniach miejskich, a z gwerami na ramieniu.

— Coście za jedni?

Rekruci, którzy się spóźnili, tu za pułkiem przyjechali, teraz nie mogą czegoś znaleźć i wracają skąd przyszli.

We wsi cisza, — kogut gdzieś niegdzie zapieje.

Trzeba się dowiedzieć, czy to Cibory, czy nie? Musimy przecie znaleźć generała Lasockiego, — może w tych Ciborach nareszcie.

Na wrotach znaczniejszej chałupy wieje szmata z czerwonym krzyżem.

W izbie duszno, o — o! Tu też zanosi się na cofanie. Siostra w kwefie, ręce bezradnie złożone na podółku. Ksiądz wszystkie odznaki swego urzędu trzyma na widoku, z pewną ostentacją.

Choćby nagle wpadli „oni“, to przecież odrazu zobaczą — ksiądz i basta. A doktor nad małym puzdrem, z którego wyzierają krępe flachy jodyny, pije herbatę i słucha rannego oficera, siedzącego za stołem.

— Myśmy się dostali we flankowy ogień panie kolego — mówi oficer, żółtosiny ze zmęczenia, — atakujemy od świtu. Zalewski podporucznik, dowódca kompanji... Osiąło go całego kulami! Kompanja się rozleciała.

— Rozleciała się? A któż tam strzela przed wsią?

Ogień idzie jędrny, głośny.

Wyszliśmy z chałupy, rotmistrz złości się na oficera. Ja jestem kulturalniejszy, — powiadam:

— Daj spokój, jakby ci nogę przetrącili, to teżbyś się nie cieszył.

Tymczasem na niebie wyjaśniło się, słońce skrzy na czarnych, suchych drzewkach, glina rozoranych ugorów, aż się poci od ciepła.

Rozważamy. Czyby się może sypnąć do komendanta Suwalskiego pułku, majora Mackiewicza?

Mackiewicz stoi, tuż przed Lidą w Ostrowli. Machnąć się szosą przez szrapnele, przyczynić się jako tako do awantury, z rozkazem wyrwać do jakiejś kompanji i gadać z porucznikiem, wrzeszcząc, z ustami przy uchu, podczas gdy kule tną gałęzie nad głową.

Oficer z opatrunkowego punktu mówił, że pułk Suwalski stracił flankę. Że bolszewicy już podchodzą pod nasze baterje, są już na 50 kroków...

Lecieć do tych bateryj, po drodze myśleć z uśmiechem, — lecisz durniu do baterji. Szukać jakiejś ostatniej my-

śli, meldować coś, nie mogąc złapać tchu i kłąć, że zawsze lezie się, gdzie nie trza, — a obiadu naturalnie już ci nie zostawia na kwaterze!

Rozważamy jeszcze.

Jak jest rozkaz szukać Lasockiego — to szukać!

Wracamy szosą, znów lasem, — i jeszcze szosą. Wielkie, białe czupryny bolszewickich pocisków strzepią się nad sosnami, — a zboku przez las rżnie któraś nasza baterja, splątana, zmierzwiona, zgnieciona. Konie dudnią po ściółce, żelastwo dzwoni na alarm, ludzie okopceni od dymu, że aż im białka lśnią niesamowicie.

— Co jest panie kolego? — pytamy oficera, prowadzącego baterję.

— Piechotę przed nami rozbili, ledwom wyciągnął armaty, bolszewicy zachodzą z flanki, dwa dyszle mam strzaskane, — zmieniamy pozycję!

Kto zna bitwę, ten wie, co to znaczy, gdy już z samego początku artylerja musi zmieniać pozycję. To znaczy, że nasza piechota ustępuje, że nieprzyjaciół rozwija gwałtowny kontratak, a artylerja jego znaczała już porządnie stanowisko naszych bateryj.

Jedziemy przez most na Dzitwie, akurat koło miejsca, gdzie się bekas w powietrzu wywracał, do wsi Myto.

W Mycie już pełno piechoty. To generał Śmigły maszeruje. Jego samego jeszcze niema, ale już są oficerowie jego sztabu.

Piechota sypie się cierpliwie, nie mają cię co śpieszyć, każdy dobry piechur przecież wie, że prawdziwa bitwa zawsze na niego poczeka.

Raportujemy generałowi, co i jak, że Suwalczan prze-

trzępały bolszewiki od flanki, że major Mackiewicz stoi w Ostrowli, że Suwalczanie szturkają w Słobódkę (przedmieście Lidy), ale że to ciężko idzie, żeśmy po drodze spotkali baterję naszą, zegnaną z pozycji, że ta baterja z połamanymi dyszlami szła do Cibory. Że nie ma czem strzelać.

Położenie Śmigłego jest bardzo trudne. Wprawdzie od północy atakuje już Lidę major Trojanowski bataljonami 4 pułku legionowego, ale niech się ten atak nie uda, — to Śmigły ze swą dywizją nie ma wyjścia.

Śmigły, — prawdziwa pociecha żołnierskiego serca!

Słucha naszego troskliwego gadania, częstuje papierosami, pozwala równocześnie oglądać śliczną szpicrutę, którą dostał na imieniny od oficerów Kowelskiej Grupy i oczyma czarnemi, jak tarki, wodzi po otoczeniu.

Są w muzeach, takie posążki empirowych generałów. Duże buljony na ramionach, kłapa płaszcza generalskiego twardo pod brodą odłupana, a twarz młodziutkiego chłopca, stanowcza, piękna i zawzięta.

Pytamy przy sposobności, czy nie widział gdzie generała Lasockiego?

Nie, nie widział, a sam pomaszeruje dalej w myśl rozkazów.

Jedziemy wolno przez maszerującą dywizję generała, którą wszędzie łatwo poznać po ślicznych napisach na wozach, stylizowanych na wzór Jastrzębowskiiego. Sami starzy znajomi z pod Konar, Wołynia, Kołodziei, z nad Styru.

Przy którymś bataljonie mają pociechę z dwoma chłopakami, którzy przypytali się do dywizji w ostatniej

chwili z Warszawy. Są to roznosiciele gazet z pod Loursa. Oberwani, jak dziady z torbami na plecach, uganiają wśród szeregów, ciesząc cały bataljon.

— Jakiego guza tu szukasz jeden z drugim?

Strzepnęli łachmanami, podciągnęli nosami i dalej polecieli.

Z Myta ruszyliśmy zpowrotem do przerwane go mostu w Podzittwie, aby się czegoś dowiedzieć o generale Lasockim we dworze.

Ileż tu zmian!

Ciche doniedawna, kroplami rosy dźwięczące ściany dworku rozbrzmiewają teraz hałaśliwym gwarem żołnierzy. Pełno ich wszędzie. W bawialni urządzili stację telefoniczną. Więc przy oknach cała pajęczyna grubych drutów, na stole aparaty, pod ścianą rynsztunek zwalony, a między nim chleby i otwarte puszki białego smalcu. Pod piecem rząd materacy starych i wyjedzonych, na których śpi jedna zmiana telefonistów.

W korytarzach dudni od grubych obcasów, jadalnia, kancelarja, przemieniona na szpital, wszędzie zaś za żołnierzami, za chlebem i smalcem pętają się gromadki wynędzniałych dzieci.

Każemy się połączyć ze Skrzybowcami przez sąsiednie stacje. Tutaj, przy aparacie, bitwa przeistacza się w głośne bzykanie komarów. Brzączek drży i powtarza — bezskutecznie.

Ogarnia mnie nagła, niespodziewana radość. Zauważyłem bowiem, że telefonista mówi miękkim narzeczem z białoruska, ja mu nad uchem zaciągam po krakowsku, nasz szofer „śpiwa“ po lwowsku, w aparacie zaś odpo-

wiada nam, czy doczepia się do naszej rozmowy jakiś Poznańczyk, akcentujący jedną i tę samą nazwę wytrwale z niemiecka. Żołnierze — wszystkich dzielnic!

Ktoś nam mówi, ale już nie pamiętam kto, że generał Lasocki z pierwszymi tyraljerami właśnie w tej chwili wpadł do Lidy. — Tu go nie znajdziemy.

Na szosie między podwodami posuwa się wolno auto oficera sztabowego Naczelnego Wodza.

Otrzymuję zlecenie, aby zobaczyć, jak się rozwija atak od północy na Lidę, które bataljony Śmigłego przeszły już i t. p.

Wzamian chcę się dowiedzieć, co się dzieje pod Baranowiczami i pod Nowogródkiem.

Zdaje się, że tam idzie bardzo ciężko.

Samochód punktuje każde słowo srogiem warczeniem. Zresztą nie mamy żadnego połączenia. Teraz jedyny środek łączności, to samochody. Wszystkie samochody, nawet powóz Komendanta z śliczną parą siwych koni, którą jeździ po Warszawie, — wszystko zmobilizowane.

Jadę przez most, traktem, którym parę godzin temu przeszła kawalerja i Śmigły.

Mijamy baterje przydzielone do Śmigłego, jakieś jaszczyki ciągnące po bródzie, nagwałt w stronę naszych ciężkich haubic, które od Zapola grzmocą w koszarach Lidzkie. Całe rzędy małych, ciężko wyładowanych wózków z prowiantem i amunicją dla drugiej dywizji legionowej.

Samochód rżnie przez błoto pełną siłą. Słucham z rozkoszą wielkiej bitwy. Od południa dochodzi aż tu jęk dział grupy Szeptyckiego, słychać wyraźnie straszliwe,

równe terkoty karabinów maszynowych z Lidy. A blisko, wyraźnie już dochodzi, aż tu, potworna czkawka naszych haubic, strzelających na skrajach lasu przed Zapolem.

Po drodze coraz częściej pojawiają się ranni. Krew przesiąka przez białe bandażę i kapie na glinę.

— Z którego pułku?

— Z czwartego legionowego.

— No i co, — do ciężkiej cholery?

Śmieją się spiekłymi wargami. — Wzieliby my tego pancernika, ale że nas za mało!

Opowiadają o dwóch pociągach pancernych — które se jeżdżą po torze przed Lidą, tam i nazad i dostąpić do siebie nie dają.

— Myśmy myśleli z początku, że tam żydy siedzą. Jakieś cię czarne, w długich kabatach, — a to matrosy złodzieje.

Jadę dalej, koła już ledwie miętola błoto.

Teraz oprócz ciężkich, słychać zażarte ujadanie polówek.

Nagle rozległ się huk olbrzymi, huk, od którego chyba cały front mógłby zamrzeć... Później dowiedziałem się, że to właśnie kapitan Domański ze swoją baterją wyrzucił w wagon piroksyliny i zniszczył pociąg pancerny.

Wybuch ten słyszano daleko. Maszerując na północ ułani i dywizja generała Śmigłego nie wiedziała, co się stało.

Samochód ostatecznie zarył w błoto.

Zsieśliśmy razem z pomocnikiem. Szofer puszcza parę, my, po kolana w błocie, pchamy wóz, — ani drgnie. Koła się w glinie wiercą, jak przy zepsutej zabawce, że

szprych zacierczką gęstą gruda pryska na boki — ani weź!

Niebo całe kołysze się od bitwy — a ty tu paraj się z tym omnibusem. U jednego wylotu drogi, u drugiego nic — sosny wieją gałęziami — i nic...

To ci są drogi, to jest kraj! — Mickiewicz ze swoją Litwą gimnazjalną.

Nadciąga jakaś artylerja.

— Panie poruczniku, panie kolego, — zaczynam wołać — możeby tak pańscy ludzie! Auto Naczelnego Wodza... Telefony nie funkcjonują, żadnej łączności!

Cała obsługa, kilkunastu artylerzystów, jak dębów, stanęło w błocie po kolana. My oficerzy razem z nimi. Zaparliśmy się, dech wzięli, jęknęli...

Auto wybrnęło z błota.

Ale ledwie baterja przeszła, gdy oto automobil znów zapada cicho i wsiąka, aż po stopnie.

Teraz we trzech budujemy, jakieś zmyślne rusztowanie. Niebo huczy od bitwy, karabiny maszynowe prują i prują, a ty tu człowieku patyczki pod tego Molocha podstawiasz i z błota się ratować musisz. Nareszcie znalazło się pod ręką trochę kochanego ludu.

Chłopy chwalą Boga, ruszają ramionami i podciągawszy portek, znów razem z nami dźwigają, razem ze skóry wylażą, — nic.

Deszcz, jak ciął po ceratowych poduszkach auta, tak tnę dalej.

Nadjeżdżają jakieś kuchnie polowe, odprzegamy skapy, ale koniki mądre, na sam widok automobilu kładą się w błoto z rezygnacją.

Nareszcie dokonały dzieła zaprzęgi I pułku legjonowej piechoty.

Pożegnawszy przesadnymi wiwatami na cześć pułku dzielnych kolegów, wróciłem do wsi Myto.

Wieczór zapadał.

Po wsi snuli się ranni, drogą mijaly ciche wozy, okryte zmiętymi, okrwawionymi płaszczami żołnierzy. Stąd i zowąd jęła się już pokazywać przepłoszona ludność.

Piłsudskiego spotkałem na drodze. Dowiadywał się o bataljony, mające nadejść jeszcze. Był rozgorączkowany. Niebieskie jego oczy, wezbrane całodziennym bojem, rzucały siwy, ostry blask, na policzkach płonęły rumieńce.

Dowiedziałem się od adjutantów, że już trzy razy piechota nasza była w mieście i za każdym razem musiała się była wycofać. Mamy duże straty.

Suwalski pułk mocno poszarpany, czwarty legjonowy niemniej. Sporo oficerów wybitych.

Sypiemy szosą do Suwalskiego pułku, do Ostrowli. Niebo już zachodzi czerwienią, bój rzekłbyś już dogasa.

Strzelanina piechoty, przenosi się z miejsca na miejsce, prawie bezskładna. Artylerja pracuje jeszcze, ale już z trudem widocznym. Trzyma niby pod ogniem jakiś punkt, zamyka rzekomo jakieś drogi, ale to już raczej dla honoru, niż z praktycznym sensem.

Ognista pierś boju, wyczerpana jest i ledwie tchnie. Od linii tyraljerów coraz prowadzą jakiegoś rannego. Wraca z boju biedny i pomięty strzępek ludzki, chroma i kuśtyka.

— Nam porucznika — zabili — powiada — my nie

znamy „curuk“. (zurück). Poszlimy do kontrataku po ciało naszego porucznika. Taki był wesoły... Mnie palec odstrzeliło, ale biegłem. Dopiero już, — jak w rękę —

Meldujemy się nareszcie w grupie Zaniemeńskiej.

Generałowi Lasockiemu żyłki na twarzy pociemniały na czarno.

Z pośród ich siatki cieniutkiej świecą oczy zmęczone, pilne.

Przy chałupie gromadka oficerów.

Po szosie tłuką jeszcze Rosjanie szrapnelami, od strony Lidy trzeszczą wystrzały piechoty, zajeżdża Naczelną Wódz, generał leci naprzeciw, my stoimy w oddaleniu.

Piłsudski komunikuje generałowi, że rzuca na ten odcinek ostatnie bataljony rezerwy, pod doskonałym oficerem, majorem Biernackim.

Ostatnie rezerwy... Ostatnia energia i wysiłek... Jeśli te rezerwy „swego nie zrobią“? Jeśli trzaśnie nasza linja pod Lidą, co zrobi Szeptycki, jak będzie wyglądał Śmigły, który już przeszedł rzekę z wszystkimi tabo-rami?

Niepodobna nie przeżyć bodaj w myślach możliwości niepowodzenia. A jeśli... Jakże się wówczas cofać? Tą jedną zatkaną doszczętnie linją kolejową?

Piłsudski, jakby sobie zupełnie z tego nie zdawał sprawy. Stoi z majorem Mackiewiczem i wysłuchuje raportu młodego podchorążego, który właśnie wrócił z linji.

Młody oficerek wyklada jasno, prosto, pot mu się perli na skroniach, policzki, aż cynobrowe od bitwy; od-
dycha równo, mocno, że rzemień od karabinka, przez piersi przeciągnięty chrzęści tak wyraźnie.

— Trzeba też spowodować ogień artylerji, — mówi Komendant.

Niema amunicji.

Mam połączyć się ze Skrzybowcami, — niech wysłą sześćdziesiąt ładunków, ostatnich, które są gotowe. Albo 60 brandli, sześćdziesiąt woreczków z prochem.

Nadjeżdża major Biernacki, dowódca 5 pułku piechoty Legionów. To on właśnie z dwoma bataljonami piechoty legionowej ma w nocy, — najpóźniej nad ranem, — uderzyć na Lidę od południowego wschodu.

Radzą z generałem Lasockim.

Twarz młodego majora w miarę, jak dowiaduje się o powierzonym sobie zadaniu, ściąga się i ostrzy coraz wyraźniej. Nos mu się nagle wykończył w szpic, wąskie czerwone wargi rozchylają się kształtem cieniutkich nit-tek, a bystre gładkie spojrzenie niebieskich oczu, staje się zimne i przeźroczyste.

Pewno, pewno, — nie takie obejścia, nie takie szturmy przeprowadzał ten srogi oficer, o łagodnej postaci chłopa. Ale i teraz, chociaż to już w porównaniu z dawnem nic wielkiego, gdy powierzają mu zadanie stanow-
czego ciosu, — odrazu pochmurnieje jasna twarz oficera.

— Tak jest, Komendancie, — tnie szybko, suchy tenor majora, — bataljony już będą chyba na szosie.

Zaczęli się umawiać co do szczegółów.

Tymczasem Piłsudski pożegnał sztab generała i szedł już, krwawiącą w zachodzie szosą prosto na strzał, do linji ognia, ku słabnącym z trudu żołnierzom Suwalskiego pułku.

NA TLE MURÓW

Nasza artylerja bije z przedmieść do nieprzyjacie-la, szwadrony gonią go, piechota od rana rozpiera się w domach, wozy huczą gromko. — Jesteśmy w Lidzie!

Małe, jednopiętrowe miasto, poprzerywane parkanami. Na ulicach, w zaułkach, leżą jeszcze trupy naszych i nieprzyjacielskich żołnierzy. Dzień jest szary, wietrzny, czasem lśni białym promień słońca, to znów znika.

Ulicami maszeruje piechota, rekruty tłuką stopami o bruk, aż strach bierze, jakie twarde wojaki!

Orkiestra któregoś pułku wyczynia coś dziwnego na pordzewiałych trąbach, w których osobliwie starczo drży młody dech trębaczy. Jadą też nasze artylerje i nasze tabory. Całe nasze bogactwo wojenne wzniesła marsowy hałas wśród koślawych uliczek.

Ludność czepia się oddziałów, wozów, koni, nieśmiało, lękliwie, niemal nabożnie.

Nikt jeszcze nie widział takiej ludności... Gada ona śpiewnem narzeczem, polskimi słowami, jak może inkrustuje tę ciągliwą, kresową swą mowę. A wygląda, — jakby wykrojona z pergaminu. Takie to pomarszczone, zleżałe, cienkie.

Pod kościołem, którego białe ściany gnębi ochryply

głos zaziębionych organów, gromady przeróżnych matorów miejscowych obstepują oficerstwo. Wielkie świadczenie honorów, dworskie szurganie dziurawych podszew po bruku, polonezowy wyrzut łokcia w szanownym rozmachu i że, — gdybyście panowie tu nie przyszli, toby się już wnet zrobił koniec świata. A tymczasem przyszło swoje wojsko, — Polskie Wojsko na święta Wielkiej Nocy...

Tak rzecze łyk, ten, ów i tamten i znów nie wie, co więcej ma powiedzieć w tej niesłychanej radości, oddech i głos przerywającej.

Nagle rumor się robi między łątanami kapotami, z pośród których przeciska się prosto ku nam, na wysokich pogiętych butach, stara bronzowa katana, nakryta maciejówką, wspartą o wielkie białe uszy.

— Ja jestem, proszę panów oficerów, — mówi starowina, uchyliwszy czapki, — ostatni powstaniec 1863 roku, pułkownik —

Dajemy bacność panu pułkownikowi, który koniecznie stara się wyprostować i jeszcze bardziej się chwieje na zgiętych w organki portycetach.

— Tak jest, ja stary powstaniec 63 roku, doczekałem oto tej chwili, — niesie drżący, kazalny głos.

Wybladłe spojrzenie pełga po naszych twarzach, w bezgranicznie szczęśliwem zdumieniu dotyka naszych mundurów.

Zapewniamy pana pułkownika, że, — jako emeryt Wojsk Polskich, bo to wszystko panie pułkowniku jest jedno i to samo zawsze Wojsko Polskie, — ma prawo noszenia naszego munduru.

Przerywa tę rozmowę sztab generała Lasockiego, lokujący się naprzeciw kościoła w Grand Hotelu, gdzie jeszcze wczoraj stał sztab bolszewicki.

Czuć tu jeszcze nieprzyjaciela: Inny zapach chleba, kawy, inna woń papieru. W niedopakowanych skrzyniach mnóstwo rozkazów, dyspozycji i wszelakiej pisaniny woj-skowej.

Sztab generała Lasockiego nie czeka. W obłokach kurzu, w szeleście mioteł, syczących na korytarzach, zaczyna się już nowe urzędowanie.

Tu dowiadujemy się, że siódmy pułk ułanów uderzył na cofających się bolszewików z Lidy od tyłu i rozbił ich pod Lipniskami.

Gdyśmy zeszli nadół, stała już między kościołem, a hotelem długa kolumna jeńców bolszewickich. Na czele kolumny kilku oficerów, doktorów, — między nimi jedna kobieta, sanitariuszka.

Ubrana była w rosyjski szynel pod szyję zapięty, na nogach płytke pantofle. Jej bardzo piękną, jasną twarz zdawał się mącić niepokój.

Podszedłszy, spytałem o powód tego niepokoju.

— Czy to prawda, że nas wszystkich mają rozstrzelać?

Zapewniłem ją, że to absolutnie jest nieprawdą. Polacy zawsze uważali żołnierzy, wziętych w boju z bronią w rękę, za jeńców wojennych jedynie.

Pani tej, jej towarzyszą i pierwszym czwórkom jeńców oddaliśmy wszystkie papierosy, jakieśmy mieli, ku niemałemu zgorszeniu ludności, stojącej za kordonem wart.

Te warty raz wraz odsuwają kolumnę, tłum się ugina

co chwilę, — bo oto wjeżdża w bramę kościelnego podwórza nowy wóz, pełen naszych poległych żołnierzy. Wygląda on zdaleka, jak wóz kopiasty, słany wysoko zeschniętą, szarą, prawie niebieską koniczyną.

Dopiero zbliżka widać szare mundury, skurczone ręce i blade twarze żołnierzy, reszteczką światła martwych oczu zapatrzzone w niebo.

Trupy układa się rzędem na murawie kościelnej. Jest ich sporo, wóz, który teraz przyjechał, nie jest pierwszym, ani też nie jest jeszcze ostatnim.

Przy samym murze stoją mary z żołnierzem, nad którym znęcali się bolszewicy. Ktoś usunął płachtę z rozbitej głowy i z rozerzniętych piersi, z których nieprzyjacielem wyrwali serce.

Straszliwy widok.

Kobiety, dziewczęta, mieszcżki, wciąż wiankiem stoją dokoła i wciąż płaczą nad tym polskim żołnierzem.

Z kościoła wyszliśmy na miasto.

Na każdym kroku uderza niezmierna ilość afiszów i plakatów, jakby zjechał niedawno do Lidy ogromny cyrk. Korony monarsze po tle tych afiszy lecą, niczem zwiędłe liście, chłop w czerwonej rubaszce na każdej rycinie ścina stugłowe hydry, a wyzwolone rzesze rozmaitych niewolników pełzają po nim, na podobieństwo robactwa.

Wstąpiłem na jednej z ulic do biura propagandy bolszewickiej. Poprostu przypuścić trudno, że w tak małym mieście, można było zgromadzić tyle „wybuchowego“ papieru. W dawnej szkole (czy też był to gmach Rady Powiatowej) piętrzyły się całe złomy, całe czworogranne

skały prasowanych numerów „Młota“, — białe, czerwone, zielone filary odez. Dalej przekłady Dickensa, klasyków, pstre grzedy rozmaitych historyj sztuk, kultur, przesłiczne wydawnictwa najmłodszych malarzy rosyjskich.

Obok za oknami tego składu cuchnie gnojówka. Podłoga schlapana atramentem. Na ścianach zgniłe plamy wilgoci.

Doświadcza się potwornego wrażenia, patrząc na te olbrzymie zapasy zadrukowanego papieru, zgromadzone tu dla ludzi nie umiejących czytać. Jakby ktoś niesłychanie przewrotny rozpoczął złośliwą zabawę, obliczoną na to, że ludzie zamiast chleba, zaczną jeść papier.

Wracając stamtąd ku kościołowi, przechodziłem około prawosławnej plebanji. Na werandzie przy drzwiach stał sędziwy pop, żółty, jak bywają bizantyjscy święci, w długiej, fioletowej szacie i futrzanym kołpaku.

— Czy pan rozumie po polsku? — spytałem podszedłszy ku niemu.

— Jestem Polakiem, — odpowiedział, skubiąc ciemny skraj swej sukni.

Ogarnęło mnie zdumienie.

— Jaktó, — Polakiem?

Nasze spojrzenia spotkały się. Spłowiące, prawie już srebrne źrenice popa jęły nabiegać drżącym tonem płochliwego ciepła, wkońcu zaś cała twarz zwiędnięta i żółta okryła się bladym rumieńcem, jaki dogorywa późną jesienią na liściach, dawno już z drzewa opadłych.

— Dziś w nocy mało mnie nie zabili wasi żołnierze. Skoczył, sztyk do piersi przystawił... Ty chowasz bolsze-

wików! — krzyczy. Nie chowam, dziecko! — Mieszkam tu od tyłu, tyłu lat.

— No tak, skądże nasz żołnierz miał wiedzieć.

— A jednak zawierzył mi. Sama krew powiedziała. Zresztą rodziny już nie mam, — nikogo. Ot stoję na tym progu, — chciałbym jeszcze zobaczyć Piłsudskiego. Mówią, — wielki człowiek i wielki wojownik.

Objasniłem starca, że o ile przyjedzie kryty samochód-karetką, to tą karetką jeździ Komendant. — Natrzy się to miasto dzisiaj!

— Lida to stare, stare miasto, — przytwardził pop, — ono już tyle widać. Czy był pan na górze na zamku?

— A co to znaczy Lida? Na jakąż pamiątkę miasto to tak się właśnie nazywa?

Odpowiedział, że to litewska nazwa i że Lida po litewsku znaczy — wyrąb w boru sosnowym.

— Wyrąb w boru sosnowym! Ach tak, — tu gdzie teraz walczymy, gdzie śpiewającą falangą idą nasze bataljony, gdzie dudni nasza armata, huczy wóz i pędzi koń, — stał kiedyś bór. A potem ludzie wyrąb cięli. a potem tu się powoli budowali.

Opadła mnie nagle kochana cisza zmienności długich dróg i trudów i cierpień ludzkich. Jakoby sfrunęła tu ku nam nagle wielka niepowrotność rzeczy przeszłych.

Ale oto z pod kościoła machał już na mnie kolega, że jest jedzenie!

Jedliśmy z generałem śniadanie u zacnej, wielce wymownej mieszczki dobroczynnej, która dnia tego na wyścigi świadczyła żywym i umarłym. W sklepie bowiem do połowy lady szedł handel wielkanocny, na drugie

zaś połowie urządzony był ołtarzyk, przed którym leżał, przygarnięty z ulicy trup naszego żołnierza, obłożony starannie w czyściutkie białe całuny.

Twarzą cierpko uśmiechniętą patrzył w drzwi, otwarte do alkierza, gdzie drżącymi z głodu rękami krajaliśmy czarny chleb, kruszyli ser i podstawiając spore kromki razowca, cierpliwie cedzili wonny złoty miód.

W tem zagrzemiał wielki głos trąb, roznoszący po mieście hasło, że zaczyna się uroczystość u Suwalczan.

Suwalski pułk w wąskiej ulicy przy rynku, pod ciężkim biegiem chmurnego nieba, w blasku surowych fanfar czekał na przybycie Naczelnego Wodza.

Kompanje poszczerbione, w szeregach dziury wyrwane, oficerów o połowę mniej, niż wczoraj przed bitwą...

Orkiestra gra hymn, front się wypreża, czarne łapska równo spoczęły na gwerach, twarze wbok odrzucone, a oczy żołnierzy, oczy, w których zebrana jest wszystka zasługa walki i cała wierność — odprowadzają Naczelnika.

Major Mackiewicz ściągnięty, szerniały od trudów i strat bolesnych, raportuje głośno Wodzowi.

W tej liczbie oficerów, podoficerów i żołnierzy wymienionej dobitnie, brzmiącej wyraźnie poprzez akordy trąb, zawarty jest wysiłek całego wczorajszego boju. W liczbie, tak bardzo zmniejszonej z wczoraj na dziś, wypowiada się prosta chluba walki.

W tej liczbie krwawi serce całego pułku.

Wiatr dmie, chmury się gonią na przegony z głosami hymnu, wzrok Wodza chłonie wszystkie spojżenia żoł-

nierzy. A miejsce to przygodne i sławne, a szeregi skrwa-wione i nieuległe, a twarze ostrą linią na tle murów wysunięte, — wszystko to widzi się zdaleka, jakoby ryte w medalu, który wybity został na cześć ofiarnej krwi, dzielności i zwycięstwa.

KU WILNU

Idziemy z Lidy ku Wilnu. Mamy popasać w Biniakoniach, czy Żyrmunach, jakiś złośliwy koroniarz żartuje, że wogóle nie wypada walczyć w tych stronach. Niemogą się przecież przyzwoite bitwy odbywać pod Biniakoniami, Żyrmunami, Krupką, czy innemi Kiskami.

Trakt to się zamyka, to znów otwiera w ciszy piachów. W łagodnym powiewie brzoź to się ukaże jakaś zapóźniona kompanja, to znów znika.

Dziś przyszła wiadomość, że padły Baranowicze, szturmem został wzięty Nowogródek.

Wiadomości nadchodzące z Wilna nikomu nie dają spokoju! Ułani wpadli do miasta i biją się.

Coś niezwykłego wyprawia się w każdym sercu żołnierskiem.

Mam uparte, może dziecinne wrażenie, jakbyśmy tym starym murom, sławnym miejscem... Jakbyśmy samemu Mickiewiczowi dziękowali teraz tak poprostu i dzielnie za cały romantyzm.

Za wszystkie strofki, za dźwięk wszystkich słów, które na wieki kołyszą czarem te miejsca, móc odpowiedzieć zwycięstwem!

Już pojechała podpieierać kawalerję w Wilnie pie-

chota Śmigłego. Pojechała rosyjskim wojskowym pociągiem, który ze stacji wileńskiej odesłał major Brzozowski. Parę godzin temu siedzieli w tych wagonach bolszewicy, którzy szli z odsieczą pod Lidę.

Ułani wloką armaty po ulicach i strzelają z nich na sto kroków. Obrona bardzo zażarta. Ludność polska przystała do wojska. Przez Ostrą Bramę wpadł na czele konnych szwoleżerów major Dreszer, major Zaruski z bagnetem w ręku sunie ulicą Dominikańską.

Bitwa na fali burzliwej wynosi słodkie, bolesne nazwy miejsc, gmachów, o których się czytało na tyłu stronicach polskiego romantyzmu. Jakies ognie biją w skroń, niewysłowiona radość kwili w piersiach, że oto miejsce pokuty i żalu staje się nazwą nowej sławy.

Mamy nocować w Woronowie.

Znów przychodzi sztafeta do Naczelnego Wodza, że nie w Bastunach, nie w Woronowie, że będziemy nocowali w Biniakoniach.

Biegniemy na stację, aby tu spotkać pociąg z Naczelnikiem.

Stacyjka położona w lesie. Przy aparacie kilku telefonistów z karabinami przez plecy. Dobijają się o jakąś stację, klną straszliwie.

Skądś z linji odpowiada im systematycznie jakiś Poznańczyk, trąbiąc pracowicie w aparat: Hallo! Gudy. Tu Gudy! Hallo! Hallo! Gudy! Tu Gudy —

Żeby cię pokręciło z tymi Gudami.

Wieczór zapada, czerwony mrok przenika drogi, lasy, szum gęstych sosen płynie niewstrzymanym głosem.

Zajeżdża pociąg. Z okien wychylają się nasi żołnie-

rze — koło lokomotywy karabiny maszynowe. Wszystkie przedziały tętnią orężem. Na szerokich rosyjskich wozach wypisane pospiesznie kredą:

Pierwszy pociąg polski z Warszawy do Wilna!

Piłsudski stoi w drzwiach wagonu. Twarz jego objęta jest zorzą walki, policzki płoną gęstym rumieńcem, natężone źrenice straciły swój kolor łagodny, — biją rżęsystem światłem.

Postój. Na coś się jeszcze czeka.

Naczelný Wódz wyskoczył z wagonu i wraz wysypuje się za nim z pociągu pluton młodych żołnierzy-skautów. To jest właśnie osłona Dowódcy.

Nic piękniejszego, jak w ciemnych, aż brązowych skłonach zachodu ów wielki lew, za którym, niby gromadka bujnych szczeniąt, bieży i zagania sprawny pluton skautów.

Komendant rozmawia z nami szybko, gorąco, słowa zdają się rozsadać jego wezbraną pierś.

Ach tak, naturalnie. Bo istotnie, jakby się teraz wyrównały drogi dawno założonych przeznaczeń... Właśnie tam, gdzie Janusz Głuchowski rozbił bolszewików, w Lipniskach, była pierwsza polska drukarnia tajna. A przecież wtedy drukarnia była tem, czem dzisiaj, tu na froncie, baterja haubic. Niedaleko stąd, w Bastunach, złożony był transport odezw, które miano rozkleić, — gdy tylko przyjdzie wieść o zgonie cara Aleksandra, — na wszystkich rogach nieszczonej Polski i Litwy, aby nieprzyjacieli drżał myśląc, że tych drukarni jest wiele, w wielu miejscach.

Ach, tak, naturalnie, wyjść temu wiele lat prostym

żołnierzem, a wracać wodzem... Wygnanym być kiedyś z Ojczyzny, a dziś Ojczyznę tę mieczem swym z ostatniej niewoli ratować... Przebiegać drogi, na których kryć się trzeba było i cofać... A dziś temi samymi drogami iść i zwyciężać i wroga gnać...

Dalej! Naprzód! Naprzód!

Wskoczyliśmy do wozów. Za Wodzem ławą skauci — i ruszyliśmy, schowani w ciemnem wnętrzu żelaznych flanków pociągu, przez rude lasy, zapomniane wody, ustale drogi, tak przejęci spełnieniem przeznaczeń bohaterskich, jak chyba przejęci byli sprawą walki Grecy w ognistych flankach trojańskiego konia.

W Biniakoniach stanęliśmy późnym wieczorem. Mała stacyjka zawalona była wszelakim przyborem wojskowym. W izbie naczelnika stacji pełno łączników, którzy drzemali, siedząc w kucki na podłodze.

Piłsudski przyjmował raporty przez telefon. Z instrukcji jego wynikało, że wszystkie rozporządzałe siły, że ostatnie rezerwy rzuca na Wilno, że sam pozostaje już właściwie bez żadnej osłony.

Jakby kierowała nim jakaś tajemna ufność do tych rodzinnych stron, które niezawiodą swego wojownika...

Myślałem, że teraz nareszcie przyjdzie czas na jakieś jedzenie. Wlekliśmy przecież ze sobą w skrzynce od amunicji detaszowany oddział kiełbas, wędlin, trochę wina.

Niestety! Ledwo to się ukazało na dworcu, gdy natchmiasz znikło!

Tylko starzy i znakomici żołnierze mogą mieć taki węż! Skrzyneczka nie zdążyła jeszcze stanąć na ziemi, gdy, mimo głębokich ciemności, znalazło się odrazu

koło niej kilkunastu wypróbowanych wojaków, a wszyscy starym, bojowym zwyczajem: trzy noce nie spali i cztery doby nie jedli.

Jeszcze noc była, gdy ruch kolejowy znów się ocknął. Przybyły szerokie lory rosyjskie, na które zaczęto ładować od razu naszą artylerję, przyjechał też salonowy pociąg rosyjski po Naczelnego Wodza. Pociąg ten zabrany został przez naszą konnicę w Wilnie, z całem, dość wytwornem urządzeniem.

Rano nie było nic do roboty, więc włóczył się człowiek tam i sam między pustemi polami, po ścieżkach i drogach tego cichego kraju, na który niepodobna patrzeć własnymi oczyma, który zawsze oglądać się będzie w chwale i rytmie Wieszcza.

Na lewo od drogi widać pałac Putkamerów. Któż, czytając o Maryli w młodości, nie życzył zagłady godnemu Putkamerowi?!

Na prawo od drogi, przy kościele parafjalnym, w otoczeniu starych domostw i pól ubogich i krzewów, teraz właśnie pierwszego rzucających paki, widnieje grobowy kamień Maryli.

I chociaż Hamlet już nad wiecznością tej pułapki ziemskiego życia rozpaczal i chociaż drogą tych spraw szli najwięksi, jeszcze raz i ty, przechodniu malutki, zdjęty tu jesteś żalem: Żalem i płoną troską, gdy czytasz, iż to, czem żyło serce ogromne, leży oto w skromnej ozdobie polnych traw, w cieniu zgarbionych bzów, pod grobowym kamieniem, na wieki bezradnie złożone... I że się to niezmiennie mieści, nito w klamrze, między dniem urodzenia i odejścia:

MARJA Z WERESZCZAKÓW Hr. PUTKAMEROWA,
URODZONA 24 GRUDNIA, ZMARŁA 1863 ROKU
28 GRUDNIA.

Cóż więcej?...

Jakieś doniosłości niezwyklej zdają się nabierać chwile poranka, a głos harmonijki, na której daleko pod lasem grają nasi żołnierze, słyszysz nagle, w przeciągu mgieł ostatnich, — jakby tkliwy, uroczy oddech samej Polski, która nowe dźwięki rzuca teraz na drogi dawnych, miłosnych zawodów.

Popołudniu, w drugie święto Wielkiej Nocy jedziemy do Wilna. Mijamy transport rannych i jakieś plutony cywilów, którzy przy torze wartę sprawują. Widać już zdaleka wyniosłe czoło Polskich Aten, widać coraz wyraźniej żłobiny ulic i pałaców.

Teraz przedmieścia.

Wszyscy oficerowie przy oknach.

Piłsudski w płaszczu, w czapce i rękawiczkach, jakby w tej chwili zeskoczyć miał z wagonu.

Dziecinna pycha ogrania żołnierzy: tę wielką stację, (bo już echa naszego pociągu łomocą wśród zabudowań), te szyny, te sapiące lokomotywy, te wszystkie bloki i zwrotnice i tyle kościołów i tyle domów — to wszystko wziął ich oręż.

Wjeżdżamy na dworzec, orkiestra gra Jeszcze Polska nie zginęła. Czarno od ludzi, wstrzymanych szarą, prostą sztabą kompanji honorowej. Na skrzydle panowie oficerowie z generałem Śmigłym na czele.

Oficery przysięgłe, wypróbowane w tysiącu ogni w ty-

siącu przebojów. Stoją, jak mur, tylko to bractwo szczęki silnie zwierza, żeby nie dać poznać po sobie wzruszenia, nie dać poznać tej szalonej radości, jaka rozsadza piersi.

Oto ci, najlepsi uczniowie, którzy przyjęli z Litwy wielkiego mistrza walki i terminowali u niego w Polsce przez długi czas bezsławnych lat, lat krwawych, powracają mu miasto jego młodości zdobyte młodym orężem.

Ponad tłumem unoszą się w górę ręce powitania, a gdy Naczelnny Wódz wysiadł z wozu, — jakby całe tej rzeszy ogromnej dech w pieszczach zaparło... Na sekundę, na jeden błysk ropięła się zdumiona cisza, a wzniesione dłonie powitania zakrzepły bezruchem niewiary w rzeczywistość tego spotkania.

Nagle tłum skruszył się, ścisnął, podebrał i jednym rzutem otoczył Dowódcę.

Wtedy dopiero można było zbliższa rozpoznać nędzę i ostateczne wyczerpanie tych ludzi. Wtedy dopiero można było widomą niedolą tych rzesz mierzyć głębię ich radosnego uniesienia. Wtedy dopiero, w najszerszym stopniu dumy żołnierskiej, doświadczyć można było szczytnych owoców odsieczy.

Jakiś dygnitarz miejscowy w wyszarzałem futerku zaczął ubożuchną w słowa, przejętą łzami, mowę powitalną, którą raz wraz przerywały rzucane z głębi kwiaty. Z rodziną Piłsudskiego cały tłum wtargnął między rzędy oficerów i żołnierzy, — jakby tu wszyscy na tym dworcu byli jedną wielką, dotąd rozłączoną, teraz odzyskaną rodziną.

Ludzie nie wiedzieli, jak mają gościć, i jak mają

podejmować wojsko. Więc obstępując gromadą, głaskali szare mundury po ramionach, rękawach, ruchem pełnym nieopowiedzianej dobroci i troski.

Za Naczelnikiem, wśród tumultu okrzyków, — bo tłum ten cieszył się tak radośnie i śpiewnie, jak dzieci się cieszą, — wszystko ruszyło ku miastu.

Eskortowały Wodza zwycięskie pułki jazdy, szwoleżerów, ułanów i liczna świta.

Gdy o zmroku, — bo zapadał właśnie, — w klasku kopyt, w płaczu i krzykach tłumu, w chrzęście oręża, zamajaczyła sroga postać dowódcy pod Ostrobramskim łukiem, — zdać się mogło, iż ożywa jakaś druga strona starych ryngrafów, na których, pod świętą opieką, do oblężonego grodu wjeżdża wódz polski, z orszakiem męznego rycerstwa.

Wilno przyjęło nas w ubóstwie swem bezgranicznym i w zniszczeniu, tem wszystkim, co jest w tem mieście wieczne: Pięknością starych murów i miłością serc. Jeszcze nie szedł żołnierz polski w takim blasku, w jakim szedł temi ulicami, objęty błogosławieństwem mieszkańców.

Zaraz następnego dnia po zwycięstwie jeły się zbiegać delegacje cechów, stanów, powiatów i ziem okolicznych. Było coś nigdy nie zapomnianego w ruchu i w słowie tych ludzi: Bo to były nietylko słowa wdzięcznej radości... Bo mowy, które głosili ci ludzie, tak okrutnie doświadczeni, tak szczęśliwie uwolnieni, były rachunkiem sumienia, prostą gorącą spowiedzią z walk i z wiary i z prób najcięższych.

Tak mówią, tak spowiadają się ludzie w porywie serc, które przepełnia szczęście niespodziewane.

Cóż więcej o tych pierwszych dniach wojska polskiego w Wilnie?

Błogosławieństwo i kwiaty: W radości, w pozdrowieniach, okrzykiem buchających, w kwiatach, nito w uroku precudownej pogody, szły polskie wojska pod katedrą, twarde oblicze stawiając przed Wodzem Naczelnym.

A gdy po uroczystem nabożeństwie przed Ostrą Bramą, przemówił do szarych zastępów wojska i do rzesz tysiącznych kaznodzieja, zwycięskiego Wodza opiece boskiej zalecając, — rozległ się w tłumie głos, jak kiedy wezbranym strumieniem lodowe kry biją o się i dzwonią.

Tak wielki wybuchł płacz oswobodzenia i wdzięczności.

Po nabożeństwie ruszyliśmy automobilami wdół, potem zaś w boczną ulicę. Wóz Piłsudskiego zatrzymał się przed jakimś wielkim, mrocznym gmachem.

Ciężką, rządową bramą weszliśmy w szare podwórze, na którym rośnie cierpliwie stare drzewo samotne.

— Pierwaja Wileńskaja Gimnazja — oznajmił nam Komendant.

Pobiegł szybko na górę, jak ktoś, kto doskonale zna cały rozkład budynku, my za nim, trzeszcząc po korytarzu szablami.

— Tu była kancelarja dyrektora. Piłsudski przystanął. — Rzadko się tu przychodziło. Zawsze tylko w bardzo ważnych sprawach. Pierwszy raz byłem u dyrektora za zorganizowanie tajnego stowarzyszenia. Bo trzeba panom wiedzieć...

Komendant wziął któregoś z oficerów za guzik od płaszcza. Stoimy przy drzwiach tej kancelarji dyrektorskiej, głos Piłsudskiego głęboki i radosny niesie się daleko po pustym korytarzu.

— Bo trzeba wam wiedzieć, że w drugiej klasie stworzyłem pierwsze tajne zgromadzenie, skierowane przeciw przeciąganiu nauki poza głos dzwonka.

Idziemy dalej, szable skrzeczą na kamieniach, idziemy śpieszną wojskową gromadą.

— A tu karcer. — Piłsudski znów przystanął, jak człowiek, na zapomnianej już prawie drodze odnajdujący dawne nigdy niezapomniane wspomnienia. — Tu w trzeciej klasie siedziałem pierwszy raz za „polskij jazyk“. Gdzież ta klasa?

Otworzył nagle drzwi izby gimnazjalnej, a my razem z nim stanęliśmy u wejścia, zdumieni...

Jakby się tu spełniała dowodnie, przykładna opowieść o niezłomnej drodze i czynach owocujących. Na tablicy tej klasy, w której Naczelnny Wódz siedział za „polskij jazyk“ stało wypisane niewprawną ręką młodego kwatermistrza:

WOJSKO POLSKIE
5 PUŁK PIECHOTY LEGJONÓW
KOMPANJA...

WYPRAWA NA KIJÓW

WYPRAWA NA KIJÓW

Weźcie mapę i usiądźcie spokojnie, — gdzieś przy świetle. Za stołem powszedniej pracy, czy na ławie w ogrodzie, czy za rzemieślniczym „blatem“, czy w oknie sutereny. Pochyleni nad mapą, przysłuchajcie się głosom tegorocznej wiosny.

Ktokolwiek, zmęczony już od tylu lat, wciąż jednak dalej wyklada tę samą geografję, — albo udziela realij do Beniowskiego; ktokolwiek, dotykając trzciną globusa, uczy historii i mówi dzieciom jak się to sprawiedliwość mierzy na świecie zbyt może skąpą miarą...

Każdy, kto myśli, kto zabiega, kocha prawdę, sprzyja miłości, kto czuje w sobie gorącą młodość dążeń — niech spojrzy na wszystkie drogi, dróżki, koleje, trakty, szosy, na tę sieć rzadką, przesianą wzdłuż rysunku okrągłym maczkiem lasu, cerowaną w wielu szerokich miejscach wątłym ściegiem bagien.

Przyjrzyjcie się tej wielkiej sieci znaków Wołynia, Podola, Polesia...

Przez wszystkie owe bagna, drogi, lasy, wody, — idą dziś w hełmach stalowych naprzód młodzi Polacy.

Gdzież tak śpieszą?

Nikt nie mógł piękniej pomyśleć, jak tylko, aby

młodzi, ledwie kajdan zbywszy, ledwie oddechu w świeżą pierś zaczerpnąwszy, — szli sąsiadom zdejmować pęta.

Dzieje się to w porze wiosennej, w porze wiecznego podboju. Nie mogła lepiej i serdeczniej spotkać się tu historia z młodością, a sprawiedliwość z męstwem!

Tysiące, tysiące żołnierzy, walących z zachodu na wschód, — to są tysiące drgnień jednego szlachetnego słowa, najdźwięczniejszego we wszystkich polskich duszach: słowa wolności.

Nikt nie ma pojęcia o tym trudzie, który podjęli ci żołnierze.

Konie, wozy, maszyny ziemne i powietrzne, jadło i amunicja, broń, sprzęty, chleb, piekarnie, ciężkie działa, śmiech i gniew, radość, siła, przedsiębiorczość, — szczęście!

ODPRAWA

Dowiedziałem się o wszystkim na odprawie.

Wielki rozkaz operacyjny.

Wszystkie najważniejsze rzeczy wojskowe, — na biułkach cienkich, chrupkich, jak woda szeleszczących.

Armje, dywizje, brygady, pułki, bataljony, baterje, szwadrony, kierunek — odgraniczone strefy działania, uplecione z całego szeregu miejscowości. W miarę rozwoju treści, — słowa zamienne mnożą się, narastają do całkowitej ścisłości jakiegoś osobliwego języka algebraicznych skrótów nowoczesnej walki.

Któryś z oficerów rozwija mapę z wykreślonym biegiem zarządzanej operacji.

Patrzymy na linję marszów, na strefy, dni, znaczone x , x_1 , x_2 . Wygląda to na wielkiej przestrzeni Polesia, Wołynia, Podola, jakby ktoś krętymi linjami, między luźne nerwy tego kraju, wrysował jakąś postać ułudną.

Czytając ochryplemi już głosami słowa wielkiego rozkazu, wnikając stopniowo w sens elips, krzywych, przerywanych sztrichów, odgadujemy znaczenie rysunku, ogarniać poczynamy kształt tego splotu chęci i wyteżeń. Aż wreszcie poprzez zgięcia różnobarwnych nici i planów ukazuje się naszym oczom oblicze domniemanego zwy-

cięstwa: Z szeleszczącego papieru wykwita żywa postać Victorji.

Jest już późno. We wszystkich kancelariach już cicho. Słychać tylko od placu Saskiego huk tramwaju, tonący w puszystej, ciemnej godzinie wieczoru.

Jutro wyjazd.

Oficerowie chcą się tu zaraz nauczyć tego boju, zapamiętać wszystkie cyfry, dni, daty, mosty, przeprawy, spotkania.

Ktoś przyniósł z kasyna karafkę piwa i parę szklanek, bo wszystkim gardła wyschły od gadania. Nikt nie pije. Jeden oddaje drugiemu. Oczy idą po mapie, to po słowach cienkiej bibułki rozkazów, a szkło z napitkiem nietkniętym od ręki do ręki.

SPOTKANIE Z KROWĄ

Jedziemy krajem, w którym ciągle jeszcze dogorywa wielka wojna. Pełno tu nazw przesiąkniętych krwią, pełno potajemnych chwil nieprzeliczonej śmierci, pełno jakiejś nieznannej światłości, w którą się wstydzą patrzeć oczy.

Co krok stare okopy.

Jak długie wygnite rany widnieją na ciele ziemi. Tu i tam zbiegają się w wielkie ciężkie guzy przyczółków, przed którymi zwijają się szeregi palików kolczastego drutu.

Z gliny, którą tu w pocie śmiertelnym mięsła stopa piechurów pruskich i rosyjskich, radośnie sobie teraz wystrzela beapański chwast. A po srogich strzałach mörserów, po fali huraganowego ognia, zostały w wyrwach jeziorka, niewinnymi oczami wody patrzące w świat.

Mijamy Kowel. Jeszcze tak niedawno, dzień i noc, przez całe miesiące skrzeczał i trzeszczał ten dworzec od butów piechoty generała Linsingena. W elektrycznem świetle ogromnych lamp kręcili się żołnierze niemieccy w swych kamiennych płaszczach. Tu dygotały ze strachu resztki, rozbitych przez Brusilowa, korpusów kawalerji

austrjackiej. Tu, niby wstęgi, pruły się ostatnie szarże rosyjskiej jazdy, a zestrzelony piechur ryl w piachu krwawem czołem.

Wyczerpane przejściami miasto sprawia wrażenie, iż ujęte w białe taśmy słońca, śpi, nie rusza się prawie, wciąż jeszcze odpoczywa.

Ktoś w wagonie opowiada o odwrocie z nad Piawy. Całe życie będzie mu się śnił szum tej rzeki, wielkie mosty, sprzątane przez włoską artylerję, konie na oberwanych zadach przysiadłe.

Ktoś inny pokazuje miejsca, z których wyszła ofensywa Brusilowa.

Teraz świeżość zielona hula po drzewach, krzaki kipią srebrnym fioletem. Gdzieś z boku, wśród drzew, czuwa jeszcze zima, zamknięta zielonemi pędami wiosny w stare, złote pnie olch, ale wszędzie gdzie indziej, rodzi się młody pośpieszny kwiat, pola oblekają się w zieleń, a las aż łeni.

Pociąg przebiega stacje, osypane naszym drobnym szeregowcem.

W szybkim mijaniu raz po raz wymierza ametystowe dale zwarty kąt chłopskich strzech. Z tęczowego kołpaka stogów biją brylantowe miecze blasku i wysoko pod słońcem łamią się w oparze złocistym.

Wszystkie drzewa proszą śniegiem pierwszych kwiatów.

Słyszę za sobą zdanie: Właściwie wedle całego ordre de bataille, — armja nasza. —

Naprzeciw z zielonego pola idzie ku pociągowi macierzyńskim krokiem duża dorodna krowa. Na jej widok

rozlewa mi się nagle w piersiach jakgdyby prawda jakaś, czysta, bielsza, niż mleko. Istotna i wielce macierzyńska — o niezliczonej śmierci tysięcy żołnierzy, o strasznym huku dział i małym ludzkim życiu.

Krowa nie patrzy na mijający pociąg. Łagodnym, równym krokiem dąży przez wielkie pole, podczas gdy wychylony z okna ocieram prędko łzy. ?

W RÓWNEM

Przyjechaliśmy do Równego.

Tu lepiej widać, niż gdzie indziej, co się kroi...

Na stacji wszystkie bronie z wszystkich znaków.
W urzędzie ruchu wszystko skrzeczy, syczy i dzwoni.

Widać, że ładuje się kawalerja, bo w wagonach upstrzonych wolapikiem napisów węgierskich, austriackich, niemieckich, francuskich, polskich, ukraińskich, bolszewickich (których pięć liter wygląda na naukowy wzór jakiejś zarazy) — wielkie kopanie koni.

Szary, wielowagonowy pociąg Naczelnego Dowództwa sprawia poprostu wrażenie całego szeregu ulów żelaznych. Oficerowie, referenci włączają i wylączają przez okna, przez drzwi, popod kołami i, zda się, przez dachy.

Widać tu niestrudzonego majora Matuszewskiego. Jak młody tur przepycha się między cizbą, świecąc śmiesznym trójkąciem świateł, który mu się kombinuje na końcu nosa ze szklami binokli.

Widać zmiętą, subtelną twarz majora Starzewskiego z kwatermistrzostwa, który w tej szalonej wyprawie ma istotnie do przerobienia tyle niebywałych trudności.

Telefony dzwonią, Hughes skrzeczy i warczy, w od-

ziałach kancelarji mapy i papiery przelewają się chrzęszczącą falą z półek na ławki, z ławek na ziemię.

Papiery, — papiery! Ileż musi się ich przepchać codzień przez wszystkie kancelarje!

Na szynach, pod chudemi skrzydłami pelerynki, ukazuje się generał Listowski. W parę chwil potem zajeżdża samochód, usłany aż po brzegi wężowiskiem rzemieni, poślisk, troków skórzanych, gurtów, koców, uzd, mundsztuków, kantarów. Nareszcie wyskakuje z tej skórzanej grzędy mały, niezmiernie ruchliwy kłębek ścięgien i żył, trzymający się na czarnych olbrzymich butach amerykańskich. Kłębek wydyma się na wietrze w ciemny, gumowy balon, na którym kołysze się brązowa od słońca głowa.

To generał Romer w swym historycznym płaszczu gumowym.

Obstępujemy generała. Pieni się ze złości z powodu opóźnienia transportów. Jego spękana twarz wybucha nowem mnóstwem czarnych zmarszczek. z pośród których, między oczyma, ustami a nosem warczą słowa ostre i zgrzytliwe, jak zardzewiałe tryby.

Któryś z wyższych oficerów winszuje generałowi otrzymanego zadania.

Właściwie o zadaniu tem wie się niewiele. Tyle, że na czele grupy jazdy, złożonej „z młotowych ludzi i z byczych koni“ ma się generał Romer rzucić głębokiem obejściem daleko, na tyły. Że cała ta kawalerja uczepi się Koziatyna i będzie go trzymać, póki nieprzyjaciół, pędzony z przodu przez piechotę, na ławę naszej kawalerji się nie natknie.

— Pan generał na czele kawalerji, — to będzie sama elektryczność.

Elektryczność w generalskich piorunach i w amerykańskich butach nie słucha już i nadymając swój gumowy worek, idzie dalej.

Jeszcze za parę chwil zjawia się autem generał Iwaszkiewicz z kapitanem sztabu Bleszyńskim, który spadł z konia, ma podarty policzek, podobno złamaną szczękę i fioletowe bajorko siniaka pod okiem.

Organizujemy całą akcję współczujących pytań, które miłego kapitana doprowadzają do rozpacz.

— No, to ich tu już jest trzech smoków: Listowski, Romer i Iwaszkiewicz, — będzie jakaś generalska odprawa.

Właściwie na miano smoka zasługuje jedynie Iwaszkiewicz. Wygląda, jakby był złożony z ciężkich bloków, poruszających się wolno, stanowczymi obrotami tanka.

Za parę minut ma przybyć pociąg z Naczelnym Wodzem. Belwederska kompanja stoi już wyciągnięta pod stacją. Szef sztabu generał Haller z oficerami na skrzydle.

Czekamy, podani w stronę przybycia, z zamkniętymi prawie oczyma, bo przeciąga przez nas nieustanna chmura lotnego kurzu.

Wielki ruch stacji powiększył ją, tak, że chmura płynie bez końca, widna dokładnie nawet teraz w opadzie dziennego światła, prochem żółciutkim przesłaniająca ostre kropki elektrycznych lamp.

Zboku wyteżonych szyn stoi cały naród wychodźczy. Pod bezgranicznym spokojem wiosennego błękitu,

drażeni pierwszymi cieniami wieczoru, ruszają się ci ludzie, niby w widzeniu jakiegoś starożytnego portu.

To znów przeciągnie przez nich jeszcze mocniejszy oddech tutejszego świata. Tego świata, który miałkim kurzem wiecznie się naprzód ciska, wiecznie za sobą goni i nigdy za sobą podążyć nie może. Wówczas dalekie rzesze toną w sypkiej mgłę, wszystkie światła się mroczą a my też, z całą naszą paradą toniemy, ni to w lotnem zmaconem przeznaczeniu...

Pociąg z Naczelnym Wodzem wjeżdża na stację.

Piłsudski wysiada, idzie powoli przed frontem generałów i kompanji, odrazu zabiera z sobą sztab i siadają w salonce do odprawy.

Zapomnieli zsunąć firanki i widać doskonale wszystko, co się dzieje w wagonie.

Żołnierze wychylają się z sąsiednich wozów, tak, że z każdego okna wystaje cały pęk głów, niby pęk wielkich rumianych rzodkwi. Patrzą, chcą słyszeć, co mówi.

Komendant siedzi z ramionami rozłożonemi na oparciach kanapy, generałowie przekładają z rąk do rąk zielonkawą mapę, pożyłowaną drogami, kolejami, ścieżkami, składają ją, łamią i znów gną, jakby łupali w palcach trzeszczący złom biało-zielonego marmuru.

dobni są do djaczków i obaj, jakby się smarowali złotkiem, tak tłusto połyskują.

Ludzie tu mieszkają, w tem Równem jak na wydmuchu. Stół, łóżko, kanapa i potem jakieś już tylko resztki rzeczy, resztki obyczajów, resztki przyzwyczajęń.

Przez owe resztki puste, naprzestrzał otwarte ze wszystkich stron we wszystkie miota się pył polotny.

Jakgdyby prawda tego kraju z istot, z rzeczy wygnana, miotała się po tej przestronnej ziemi ciemną bezładną chmurą. Jakby pędziła szerokimi drogami, nigdzie nie mogąc osiąść, nigdzie nie mając spocząć, ani na rzeczy, ani na wodzie, ani na ziemi, ani już w żadnem sercu...

NA WYDMUCHU

Dziś cały dzień jestem w Równem. Nic tu nie widziemy osobliwego, ale z przejazdu wszelakich łączników wnioskować można, że nasz pierścień bojowy jest już na ukończeniu. Jest to pierścień sięgający od Prypeci aż pod granice rumuńskie. Na całej tej olbrzymiej przestrzeni w pierwszej linii frontu dyszy gotowością skoku zdrowa i młoda pierś naszej piechoty.

Na całej tej przestrzeni, od południa i północy, z ostrzem na Malin i z ostrzem na Koziatyn, zebrana w cugle, drepce niecierpliwie nasza kawalerja. Pod całą tę przestrzeń podsuwa się dniem i nocą olbrzymia fala żelazna, dniem i nocą płyną ciężkie strumienie artylerji. A jeszcze dalej, wtyle, za niemi, po drogach, ścieżkach, lasach skrzeczy, wiezione na podwodach i na tysiącu wozów, codzienne jadło, przeznaczone dla wojsk.

Z miasta wywalają pośpiesznie resztki dowództwa armji Listowskiego. Wszędzie otwarte drzwi, we wszystkich oknach rumiane gęby w hełmach.

Poznałem się z jakimiś kapitanami ukraińskimi. Oręduje im wesoło złotogłowy podporucznik Wierzyński. Cały dzień siedzą w kącie brzydkiej kanapy, krytej zielonym pluszem, i dumają o swej Ukrainie. Obaj po-

Ich bose stopy, — to stopy heksametru niewysłowionej niedoli.

W ich mowie obcują z sobą najdalsze końce świata. Wyzbyci już nieomal barwy ludzkiej, — są jak woda, jak deszcz, powietrze, przestrzeń, cień, czy też kurz, pustka, nicość dotykalna...

Są już — znikąd.

KOŃCE ŚWIATA

Po drodze do stacji natrafiłem na wielki rwetes. Przyjechało nasze radio i musi się ustawić, tu właśnie, gdzie czekają tłumy uchodźców.

— Mężów zabrali, nas spalili, wygnali. Mężów zabrali, nas spalili, — przytwierdzają kudłate głowy, przyświadcza głos, z którego wyszła radość wszelka, a został jeno pusty rozmiar dźwięku.

Wygnano ich jeszcze w 1915 r., teraz wracają z Sybiru, z nad Kaspijskiego morza, z Samarkandji, z nad Uralu, ze stepów Kirgiskich, z Persji, sami nie wiedzą skąd.

Odzież ich stała się obrazem tułactwa, wypelzł z niej wszelki ornament stroju, kraju, narodu, proch nieobjętych traktów powrastał im już w skórę.

Mają na sobie tułupy sztywne, złamane tysiąc razy we wszystkich fałdach i zleżynach, jakby nosili na sobie skrawki szosy.

Wloką za sobą rozmaite dobro sękatę, które wypycha ich wory. A wory te, układają przy sobie Układają, mozołnie, zabiegając potem nadaremno, około tych szarych pagóreczków chudego swego losu.

PROMIEŃ

Dziś rano jechaliśmy z Równego do Zviahla.

Naczelne dowództwo Polskie cały dzień i noc pozostaje, jakgdyby unurzane w elektrycznej sile. Dygot tej siły, wciąż drżącej około nas, słychać daleko. Przez całą noc warczą motory, agregatory, przez cały dzień i noc strzyka dziwnym głosem życia przestrzeni nasze radio.

Niby niesamowite kowadło, na którym kuje się żarzczą gwiazdę oddalenia.

Dowodzi tym całym skweresem kapitan Rotarski. Wyseki, jak tyka telegraficzna, nieustrudzony, zakurzony, zakochany w swych stacjach. Pokonywując samochodem codziennie kilkaset wiorst, objężdża i ciągle kontroluje te maszyny, które, niby potworne komary przyczepione do ziemi nogami z drutów o kilkudziesięciometrowej długości, — bzykają nieustannie.

Wszystko to razem składa się i rozkłada i da się zmieścić i jeździ w dwóch samochodach.

Mówiłem, że nurzamy się w sile elektrycznej. I w sile motorów. Ruch samochodów warczy dokoła we dnie i w nocy tak, jakgdyby moc powodująca stąd armjami, wprawiała powietrze w ciągłe drżenie.

Jedziemy do Zviahla, pędząc po szosie pełnym re-

gulatorem. Daleko na prawo i lewo od skłonów drogi wydzwijają zjawy, utkane z tumanów roztraconego kurzu.

Niedaleko od Zviahla na murawie przy łasku jakimś natrafiliśmy na Naczelnika.

Opodał, z dużym nosem Wieniawy na przedzie, tkwiła pstra sałatka zdyszanych adjutantów. Na pniu, gryząc litewską kielbasę, siedział generał Henrys w czerwonej czapce, zdobionej złotym laurem francuskim. Przy szosie czekający szoferzy dłubali w autach drugą stroną ciągnęły bez końca szare garby taborów. Słońce lało się z nieba wonnym, połyskliwym zapachem wiosny na pola, na zmrużone sadyby, na tajemnicze znaki kurzu, uciekające przez drzewa rozkwitłe.

Piłsudski w swym strzeleckim, niebieskim mundurze leżał wsparty na kamieniu, zapatrzony przed siebie. I tak mi się nagle ułożyło w pracowitym chrobocie tej słonecznej chwili i w zrozumieniu tej wojny, przez którą teraz młodość stare krzywdy wyrównuje i nowe lepsze czasy sposobi, — jakby tu na szmaragdzie murawy nie wielki nasz Wódz spoczywał, lecz jakby na tę murawę padał niebieski promień najszlachetniejszej prawdy polskiej.

TRĄBY FORTYMBRASA

Przyjechaliśmy do Zwiąhla do dywizji Śmigłego, nie pamiętam dokładnie, którego dnia. Wszystkie dnie i całą rachubę czasu porwała ofensywa w swoje chwyty niewymierne.

Przyjechaliśmy w południe. Generał czekał na przedzie swych oficerów przed białym jednopiętrowym dworem, między rzędami kwitnących czereśni.

Z ogromnej chmury pyłu wyskoczył Komendant.

Weszliśmy do przedsionka, gdzie orkiestra grała marsza. Tego samego, który nas prowadził na Łowczówek. Tylko, że wtedy szliśmy cieniutkim sznureczkiem w ziemi, w błocie i w beznadziei, a dziś idziemy ławą szeroką i wiosna nas prowadzi!

Tu u Śmigłego w Zwiąhlu, wśród białych ścian domu czuliśmy się odrazu, jakby nad Nidą, w Grudzynach. Jeszcze wiele tych samych twarzy tu zostało. Teraz z nowoprzybyłymi padają sobie w ramiona.

Do opowiadania meją mnóstwo. O tem, jak wojowali na północy. Jak brali Dynaburg. Jak oswabdzali Łotwę. Jak sobie tam potem zanie gospodarowali. Jak ich potem Łotysze skrzywdzili na końcu...

— O cóż poszło?

— O głupstwo! Dywizja miała tam teatr. Kiedy odchodziła, zaproszyły się jakoś do trenu dwie nędzne dekoracje, które sobie Łotysze liczyli za własne, w tym zamrzniętym Dynaburgu. To ci powiem, że się nie wstydziło i o te dekoracje depeszowali do samego Naczelnika Państwa!

Do opowiadania mają mnóstwo. O tem, jak, kiedy układy wahać się zaczęły, Śmigły w mrozie 30-stopniowym przedefilował przed Łotyszami dla lepszego wrażenia, a same armaty nasze jechały trzy kwadranse po szosie. O tem, jak się te chłopcy łotewskie we fraki poubierały i dziwne mowy trzymały, aby witać polskiego Dowódcę-Oswobodziciela.

Wszystko to ślicznie trąci starym Kirchholmskim gustem i osobliwym Shakespearowskim skrótem wielkich rzeczy, w małym czasie uczynionych... Dźwięczy to mocno, niby po długiej i okropnej tragedji nowem życiem, które naprzód pośpiesza, — dźwięczy to jasną glorią śmiałych trąb powrotu Fortymbrasa.

LEGJONIŚCI

Chodzimy po Zwiahlu, po jego ruinach straszliwych. Słońce rozpryskuje się blaskami wśród resztek domów, a rumowiska żałosne przenika tęczowym opalem.

Jedna część tego miasta została zgruchotana artylerją tak, jak nikt nigdzie nie niszczył i nie gruchotał. Mianowicie, na dany znak, pod cyrkiel ognia artyleryjskiego wzięto murowaną część miasta i jednej krótkiej nocy wystrzelano. Teraz się zda, jakby przez te słabe mury, — przez to bytowanie ongiś cegłą i gliną i tak już dość ubogo łatanę, — przeszła namiętność nagła i nienawistna, zaraźliwa, dziury i cęglaste liszaje za sobą zostawiwszy.

Nad zgłiszczami niebieski cień przeszłości niepowrotnej chwije się w słońcu. Błękitne lśnienia przerzuca po drzwiach, zaprawdę ironicznie nad oberwaną pustką sąsiedniej ściany zamkniętych. Po drzwiach, po czarnych ganeczkach, niby puste kojce, wietrzących się żałośnie w ogromnej pogodzie, po gzymsach, które niczego nie brzeżą, po zwichniętych sztyldach, które niczego starannym napisem już nie głoszą.

Stało się to wszystko w ten sposób, że Zwiahel za powstania ukraińskiego witał chlebem i solą ukraińskie wojsko. Potem przyszli bolszewicy, jakiś srogi pułk ta-

raszczański. Za karę bili do miasta z drugiego brzegu Słucza, gdzie teraz w białym ukropie młodego kwitnienia nurza się pałac Lubomirskich. Bili tak okrutnie, karabinami maszynowymi po brzegu zwiahelskim tak dobrze strzygli, że nikt nie mógł do wody z wiadrem polecieć.

Tak się tu ludzie niszczyli i tak się tu palili, a tylko woda szła i szła, brzegami, nienawiścią podzielonemi, ku swoim końcom jedynym.

Teraz po obu brzegach Słucza wojsko nasze pracuje.

Tuż pod miastem i dalej i wszędzie dalej kraj tak jest ułożony i rozwinięty, jakby go ułało, powietrzem, wodą i słońcem przesycane słowo Sienkiewicza. Tu skały w garby ruin strojne, zstępują ku wodzie wielkimi urwiskami, tam trakt przewiewny, na białych kurzu skrzydełkach kwapi się wdał, owdzie za mostem drewnianym zielony majdan, pilnowany strażą chałup i ślepych lepierek.

Na tym majdanie, rzekłbyś miernicze instrumenty ostrej miary świata, stoją rzędami w trójkąt kozłów złożone karabiny naszej piechoty. Piechurzy w hełmach błyszczących dokonują właśnie jakichś ważnych dzieł celowej gospodarki. Oto na barkach, wspólnie do rytmów ciężaru przyspiewując, niosą ogromne bele dębowe.

Czas i woda dały tym palom twardość i barwę krzemienia.

Nie wiem, w jakiej budowie ma to stare drzewo wziąć udział? Niesione przez kilkudziesięciu żołnierzy, — z wdziękiem srogięgo obarczenia, głowy od ciężaru odchylających, — wygląda, niby potwór o ciemnym grzbiecie

dębowym, na ludzkich pełną nogach, po bokach kryty łuską dwurzędu metalowych hełmów.

Tu więc, na młodej murawie, podobnie płazom ogromnym, z małej rzeki na brzeg wyszłym, — mijają się i spotykają nasze zamiary budownicze.

Ówdzie znów, za drogą, na górze, gęsto poszyta pierś lasu tętni rozgłośnym śpiewem. Raz wraz z zielonej niepowściągliwej radości krzaków i pędów wychyla się kask, brunatnym cieniem darzący twarz żołnierza. Jeszcze dalej w otwartym pałacu magnata przeciąg oklaskuje piechurów, szukających tu, — czego?

Starej flaszeczki z jodyną, skówki od szuflady, kawałeczków forniru, metalowych kulek od łóżka i tego jakiegoś niczego, za którym żołnierz wszędzie szuka.

A tak samo, na tamtym brzegu z gromady ruin, z otwartych wrót, okien, z rumowisk i zniszczenia, drgającego na słońcu świetlistym dreszczem, — zewsząd wychodzą teraz nasi żołnierze.

To piechota śmigłego.

Ta piechota ma się jutro szalonym marszem rzucić naprzód, przełamać front, zmieść, skruszyć przed sobą wszystko i, niby sztandar, ręką konsula rzucony w mrowie barbarzyńców, — ma się stać celem i metą dla ruchów całej armji.

BIES

Z ruin poszliśmy ku wsi, na kratkę pól. Ziemia tu jest tak dobra, tak tłusta, tak czarna.

Pachnie powidłami, pachnie dzieciństwem.

Ziemia, która rodzi bez trudu, niby w westchnieniach radości. Ziemia czarna, jak heban, tak zdrowa i bogata, że żadnemi sztukami i nawozami naprzykrzać się jej i przeszkadzać nie wolno, — bo wtedy zaraz pali.

Ten heban polany jest teraz świeżą falą runi bezbrzeżnej, na której, jak białe arki, kołyszą się w słońcu chaty. Gdzie niegdzie widać prostokątnie rozstawione wysobie tyki. To tyki pod chmiel, z którego szło pierwsze upojenie Słowian i z którego pędów atlasowych tryśnęły pierwsze nasze pieśni, o chmielu, chmielu, o tem bujnym ziele.

Dzisiaj Niemcy tu przedzą to ziele na swych pięknie ustawnych tykach, których prostokątne szyki widnieją zdaleka, niby wielkie sieci pajęczyny.

Weszliśmy między wsie i opłotki pogrążone, w odmęcie białego puchu sadów.

Cicho tu jest, prawie nie słyhać ospałej pracy ludzi, paprzących się na grzędzie. Tylko zdaleka donosi się jęk żelaza.

To podpułkownik Brzozowski leczy przesła zerwanego mostu. Ludzie tam oblewają się srogim potem... Na burztynowych łydkach Chińczyka spiętrza się mięsień w wyśiłku kształtem gruszki. Pośpieszne palce żyda muszą wreszcie objąć żelazną sztabę, a ziewający muzyk śpieszy się nareszcie.

Dowodzi nimi jakiś oficer z twarzą potarganą wybuchem granatu. Oczy na tej twarzy gonią się z ustami, a uśmiech złożyć się nie może, bo wówczas ślina ułabiaby się zaraz przez poszarpane wargi.

Pracują ciężko, wszyscy razem, — drzewo, żelazo i ludzie, a czysta woda Słucza wiernie ich odbija i powtarza rozmiarem błękitu.

Tu we wsi słyhać tylko, jakby żelazo srodze zachorowało, zległo i w jękach rodzić miało.

Idę między zagonami. Ktoś mały, bosi, we frakowych spodniach, w herbacianej kurteczce, z czerwonym jęzorem krawatki wypuszczonym po pas, dłubie kusemi rękami na grzędzie.

Dłubie w ziemi, przerywa korzonki, zmiata trawę, tyrpie bródką słabej zieleniny, podczas gdy palce jego płaskich stóp czarnemi oczkami nagniotków przypatrują się wszystkiemu uważnie.

Twarz ma ułożoną równomiernie jak stempel, wyrobiony z atramentowego ołówka, gumy arabskiej i papieru. Nie wie, po jakimu mówi, — po rosyjsku, po chachłacku, po polsku? Służył za buchaltera, za pisarza, za urzędnika tu, owdzie, wszędzie, we wszystkich kaznaczejstwach i zarządach, kopolniach, „meblirowanych kom-

natach“, teatrach, cyrkach, firmach, ekspedycjach, komisach.

Bies olbrzymiej przestrzeni, chciwy apostoł nieopatrznej jedności!

Malutki kancelaryjny, urzędniczy bies, którego wylęgła wielka Rosja na utrapienie świata, między Amurem a Wisłą.

PRZYPOWIEŚĆ

Tu i owdzie w głębi chat, pod plastrem świętych obrazów, niby okruch spłowiałego słońca błyszczy samowar. Wszędzie nad czarnem klepiskiem, w koszyku z łyka, czy wikliny, kołysze się różowe niemowlę. Z otwartych okien pachnie razową dzieżą.

Aż oto ni z tego ni z owego spotykam na czarnym zagonie, przy wodzie, pod drzewami te dwie kobiety.

Idą cicho we dwie. Jedna jest chuda, w szmacinach sztywnych i już jakby trumiennych. Można zliczyć kosteczki czaszki, wyschłe żyły na skroniach i wszystkie grube zmarszczki cienkich, zwietrzałych warg.

Druga jest młoda, urodziwa, oczy ma czarne w wycięciu migdałowem, a każdy ruch jej pełnych piersi i śmigłych bioder świadczy o zdrowiu i piękności. Młoda raz po raz gestem wyciągniętej dłoni czerpie z starego hełmu zwieszonego przy biodrze.

Jest to hełm wielkiej wojny światowej, z którego dziś nie czerpie się już sławy, — jeno kielkujące ziemniaki.

— A kto? A co za jedne jesteście?

— My we dwie, — matka z córką.

I, — że byli ci, tamci, spalili, poszli i wszystko zostawili.

— Petlura — mówię.

— Nie Petlura.

— A cóż Petlura?

— Petlura... — Młoda kobieta nie odpowiada, jeno raz za razem czerpie z hełmu niedbale, jakby plusk wody strząsała na grzędę.

— Więc cóż, dokuczył wam Petlura?

— Dokuczył, nie dokuczył, kto jego wie?..

Tak właśnie dziś, w uśmiechu nieświadomych oczu, chodzą po czarnych polach młoda Ukraina, pod rękę z swą Przeszłością. Powolną stopę stawia na wiosennej murawie, nie umiając jeszcze z hełmu dawnych bojów posiać nic, — prócz troski o swój byt codzienny.

ROZMOWA

Wracając do Zwiahla, spotkałem na rozstrzelanych ruinach warszawskiego dziennikarza. Stał rozkraczony na rumowisku w pilśniowym kapeluszu i mrużył powieki pod blask krwawego słońca.

Dał mi do zrozumienia, że właściwie nie się osobliwego nie dzieje, że przecież wkońcu wojna w dziewięciu dziesiątych sprowadza się do gospodarki jedynie. Dalej, że ma nadzieję za cztery dni być w Warszawie, że będzie wracał, bo wkońcu stolica jest mózgiem kraju, że wogóle człowiek dzisiejszy po sześciu latach wojny pragnie już tylko wypoczynku.

— Myli się pan, — zawołałem. — Powinien pan, iść przed siebie i właśnie teraz działać, mówić. — Jesteś pan synem wielkiego narodu. Naród ten młodą krwią żołnierzy rozwiązuje kwestję Wschodu Europy. Żołnierze, których tu widzisz w oknach, na drogach, po lasach i ścieżynach, — to najwznioślejsze marzenie historii. To wielcy legioniści, którzy niosą w swym marszu przyszły pokój świata.

— Każdy ich krok — dodaje jeszcze, — to słowo prawdy, a kiedyś, po wielu latach żyjące pokolenia zadowolone będą kurzom i pyłom, które stopa tych żołnierzy

wzniciwszy, słała na drogi i kamienie... Huk wozów, które pan widzi teraz tam, pod górą piaszczystą, — to zdrowy głos nowego ruchu, to głos mądrego Zachodu, niesiony przez rzymian polskich, tu na Wschód. Tak jest — rzymianie.

— Ledwie wolni, a już tak silni jesteśmy, — wołam, — że nas stać na zbytek, jakiego sobie odmawiały najmożliwsze narody świata. Stać nas na zbytek uszanowania cudzej duszy, cudzego życia! Stoisz pan tu, na tych potarganych zgłiszczach, w najdostojniejszym miejscu świata: tu bowiem pracuje teraz wielki Naczelnik Polski i myśli jak starszym sierpem swych wojsk podetnie jutro nieprzyjaciela. Napewno, proszę pana, nie liczy krwi, którą za tę wolność przeleje. Napewno za tę wolność nie każe sobie płacić ani wiarą, ani mową, ani duszą oswojonego narodu.

Gdzież jest miejsce na świecie, gdzieby się dziś działo więcej?!

— Masz pan na Zachodzie wielkie słowa i swary okrutne, swary, w których chęć zysku przetrąca ostatecznie wszelkie rozumowanie. Masz pan w tej powodzi procentów, akcyj i koncesyj malutką „Jasność“ Rollanda, która tam tyle znaczy, co iskra spadająca do jeziora...

— Masz pan na Wschodzie czerwony afisz bolszewicki, pod którym, jak pod nędzną tapetą, roją się pluskwy. Gdzież dzieje się to, dla czego warto żyć?

— Niezliczone wsie, umierające z głodu i z brudu, miasta, uschłe drogi, zeszywniałe koleje, światy ogromne aż po Kubań, watahy straceńców, skaczących po śniegach Elbrusu, stalowe zatoki Finlandji, wszyscy rybacy Estonji,

każdy łotewski liczykrupa, — wszystko to drży z radosnej nadziei, że naród, do którego pan należy, rozetnie swym mieczem niezawodnym tę boleść straszliwą, jaka toczy Wschód Europy. To, co myślały najwspanialsze pokolenia naszej przeszłości, — to teraz bucha w mocnym oddechu armij, które chrzęstem zbrojnym napęniają ten kraj od Mozyrza po Dniestr!

Widząc, że słońce zachodzi, że purpura leje się już po rumowiskach, że z nad rzeki płyną śpiewy piechoty, że konie podkowami dzwonią po kamieniach i że się powietrze już w dostojeństwa wieczoru przyobleka, dodałem nagle:

— Te armje jutro staną w ogniu wielkiej bitwy... Musisz pan porzucić kawiarniane myślenie. Jesteś pan synem wielkiego narodu.

GRZĘDY

Noc już spływa urocza, sady we śnie się chwieją, a całą przestrzeń gwiazdzistą obrębia tylko porywem najwzdzięczniejszych tkliwości wiotki głos słowika.

Księżyc chyba już usnął, czy zbladł, czy go nie było?

Jeszcze się człowiekowi snuje po głowie wczorajsze towarzystwo, jakiś urywek walca, zapach kaszy, i daleki sens rozmów.

Druga w nocy.

No tak, to zaraz, — właśnie dziś...

Niepodobna nie wstać, to właśnie dziś nasze trzy wielkie armje, — ostry sierp w rękę Wodza...

Ale jeżeli teraz, przed wyruszeniem, nie będzie nawet szklanki herbaty?

Ordynansi rajdosażą się za ścianą i szeleszczą w słomie, jak karaluchy.

Budzą.

Coraz nad kupą dziadowskich betów, koców, rzemieni pochyła się ciemna postać, która mówi:

— Panie rotmistrzu... Panie rotmistrzu...

— Panie kapitanie! Panie kapitanie...

— Panie poruczniku... Poruczniku, — już druga!

— Ach, do jasnej cholery!!!

Już w kącie przy ziemi płacze złotem światłem stara kościelna świeca.

— No tak, o wpół do trzeciej...

Coraz więcej cieniów brodzi między betami. Już łyżeczki dzwonią w dziwnej herbacie, z cukrem i z naftą.

A potem nagle wszyscy są gotowi i jeden przez drugiego pcha się drzwiami w tę noc.

Piękna, puszysta, nieprzeliczonym rozkwitem woniąca, szczęśliwa w niedościgłej mecie przeczystych gwiazd.

Skaczemy po brózdzie w stronę płotów.

— Cholera nas niesie, Polaków zagorzałych, turgąć się tu światami! Masz swoje miasto, czy wieś, śpij łajdaku, w czym ci Pan Bóg dał, ale to jakaś cholera nas tak niesie.

Wiatr idzie naprzeciw nas, dotykając cichutko skroni, ust i rąk. Ach, tak zdaje się znowu, jakby w podmuchu tym wszystkie nasze wymarsze od tyłu, tyłu lat jeszcze raz płynęły nam naprzeciw.

Przed sztabem dywizji patrzą w noc wyłupiaste oczy samochodów, a głos ich dygocący, zajadle wierci powietrze.

Na wielkim froncie wszystkie sztaby i dowództwa mają smak benzyny.

Już jedziemy... Każdy wóz ma pod sobą na szosie rozpostarty, sztywny trapez światła.

Noc zaraz zblednie. W tej myśli może machają ku nam ostrzegawczo czarne gałęzie drzew.

Zdaje się, że zasnąłem.

Nagle, ze wszystkich stron dotknął mnie jakiś głos,

rozesłany po obu stronach drogi, po wszystkich skłonach świtu, a wraz szeleszczący tak blisko... Coś się łamie dość cicho, lecz ustawicznie po bokach i wszędzie.

Coś się łamie i składa bezustanku.

Otwarłem oczy.

Płynę tu w zbrojnym morzu... Ciągnie się to bez końca. Widać czerwone wnętrza kuchni polowych, młaskające jezorami płomienia. Widać białe, szklane latarki, błyszczące przy wozach światłem mętnego diamentu. Szczękająca artylerja, twarde jaszczce, lufy w skórzanych namordnikach i sześć koni bijących ciężkiem kopytem i sześć i znowu sześć, znów sznury, liny, żelaza i znów sześć koni, na nich wierchem artylerzyści.

W pierwszych brzaskach, ponad kolumnę wyniesieni, wyglądają na strasznych mnichów jakiegoś tajemnego zakonu ognia.

A teraz już piechota. Całe pola żelaznych skib, które toczą się, kruszą, znów zespalają.

Hełmy i hełmy.

Całe łany, całe pola żelaznych skib, przesianych po wierzchu mlecznym drzeniem świtu.

Niebo zaczyna się prostować i określać, jasnemi brzegami do dalekości lasów przytwierdzone. Nad kolumną podnosi się widocznie skrzydło prochu, kurzu i ruchu, — coraz większe. To się tęży, to znów opada, rzekłbyś przed wielkim lotem.

My skręcamy na trakt.

Stary trakt, którym chodziły karawany i po którym się snuły kozackie wojska, między Polską, Kijowem a Carogrodem.

Tu, przy wsi, która nazywa się Kropiwna, rozchodzą się drogi i szosy. Szosą polecą jedne brygady prosto na Żytomierz. Traktem od północnego wschodu uderzą drugie.

Wieś śpi. Malutkie ślepka chałup zachodzą pierwszą różowością, a po strzechach ledwie tu i owdzie przesunie się kropla rosy, z wiązania na wiązanie. We wszystkich sadach, tkanych białą koronką kwiatu, nie się nie odzywa, tylko gdzie niegdzie zadźwięczy ptasi głos.

Trakt nie śpi. Rowy i podorywki czuwają, okryte gęstem mnóstwem hełmów. Hełmy te, rzekłbyś nieprzeliczona rzesza żuków szaroniebieskich, zaległy trakt i wszystką wolną ziemię. Rowy, place, opłotki i murawy, osypane tym rojem szeleszczą i sapią, rzekłbyś, jak młode piwo, — musują.

Generał Śmigły stoi na górze.

Stąd, z tej Kropiwniej, niby kołyska na łęgacni ziemi ułożonej, rzucić się ma w bój brygada podpułkownika Dęba-Biernackiego. Cała brygada piechoty wali na samochodach, razem z nią baterje motorowe.

Koło słońca załśniło już na bladym kręgu nieba. W białej nieruchomej zawiei sadów potroili się głosy ptasząt i zaraz rude strugi ciepła pobiegły wzdłuż i zaraz wszelki głos nabrał większej mocy, a zapach wszelki namiętniejszej rozkoszy.

Powietrze odetchnęło.

Tam na dole, — gotowi.

Z traktu, z opłotków, z pomiędzy chałup i ze wszystkich zgłęć zieleni,

z pod drzew i z pod krzaków porwały się wszystkie żuki na jeden dany znak!

Męt wszczął się pośród nich i całe strugi jęły się przesywać pośpiesznie. Coś je mięszało przez pewien czas, niby mak, czerwieniejący od słońca. Nagle przez całe mrowie tych hełmów jął się przebijać ku przodowi straszliwy wąż kurzący dymem błękitnym, czekający ustawicznie chwytem swych trybów.

Wóz jeden, drugi, trzeci, — dalej, dalej, — dwudziesty, czterdziesty, pięćdziesiąty, — i dalej, jeszcze dalej.

Aż ogłuchł wielki zgłęb sąsiedniej szosy, po której leje się wciąż wojsko, aż całe niebo napełniło się dymem i warzeniem. A potem znowu, nagle, rzekłbyś na dany znak, żuki sfrunęły razem, ku długiemu węzowi wozów. Przez chwilę fala hełmów chwiała się, to niżej, to znów wyżej. Aż nareszcie obsiadły tego węża całkowicie, błyszcząc na jego grzbiecie nieprzeliczoną siatką metalowych oczek.

Wśród chrapania i dygotu, wśród rozprysku ciężkich kaszłów maszyny, drgnęło naprzód to wszystko i wraz w górę, ku przestrzeni słonecznej wionęły szare piętna kurzawy.

Widać było, że żołnierze coś krzyczą. Sądzić to mogłeś po ich ustach, czarnym kwadratem wołania rozwartych. Widać było, że oficerowie wydają jeszcze rozkazy, ale i to wnosić jedynie mogłeś z żył czarnych od wytężenia, zesznurowanych na skroni i na szyi.

Nikt nie mógł słyszeć słów w potężnym grzmocie maszyn.

Przejęte, prześwidrowane, rozprute zostały słodkie ci-
sze poranka.

Nagle węzeł się zrobił, wąż łuską hełmów roziskrzony,
wydał się. Napęcznieła koła gumowe zaryły w piach
i w dziurę...

Żołnierze skoczyli podkładać płoty, koły, pnie, pod-
kładać ręce, grzbiety...

Nic tej jazdy nie wstrzyma.

Oto suną na lorach warczących stalowe grzedy mło-
dej piechoty polskiej. Słońce im wozy wyklada purpurą,
wielkie oparcia blachą złotą mości. Z każdej grzedy,
która przemija szumnie, serc kilkadziesiąt wybucha
okrzykiem głośnej dumy. Stary piaseczek tych dróg,
mąka wiecznego błędzenia, wokoło kół i osi wstęgami się
układa białemi, a ruch pojazdów wiąże te wstęgi w sypką,
polotną kokardę...

Mają wstęgi piachu przy osiach, głośna szarfa wichru
szeleści im w uszach, piersi krzyczą, ziemia drży aż do
głębi.

A ty, który tu stoisz na uboczu, przeniknięty być
musisz rzutami tego ruchu przez całe ciało, krew, serce,
przez wszystkie zmysły, tak mocno, że jesteś oddany cał-
kowicie, że jesteś porwany razem z pędem, — jak proch
przydrożny.

Teraz lecą smoki baterij motorowych, głos ludzi
strzela w powietrzu, niby płonące drzazgi, — wielką ko-
lumnę żelaza oganiają po bokach, szybko warczące,
skośne trójkąty bicykletek.

Wojenna karawana już się wdół zsunęła, już macha
w słonecznej przestrzeni bezmiernymi skrzydłami kurzu,

które naprzód lecą i na boki, poprzez spłoszone wsie,
kwiatuszkciem utkane sady, mokre strumienie, szerokie
smagłe pola.

Tak właśnie pierwsza brygada Legionów leciała teraz
w przestronne ziemie Ukrainy.

LAJKONIK POD KIJOWEM

Z pod Kropiwej skoczyliśmy znowu na szosę. Tu też zbijają się tabory w węzeł jeden, drugi, i trzeci, — nierozpłątany.

Jadą jeszcze niewprawnie, stają napoprzek drogi, wywołując w ruchu niepożądane zahamowanie. Gmera ciągle w tym tumultie jakiś taboryta Poznańczyk, klnie starem słowem Piasta, ale cóż to pomaga?

Po chwili toboł wozów, dobytków, mienia i potrzeby stacza się nagle z szosy i znika.

Wozy dołem okrążają, mosty są zerwane, zboku zaś na palikach, na zapalczkach, — nowo postawione. Cienkie „na olaboga“ do palów przybite deski wierzgają pod kołami, rechocą, wszystko chwieje się, ugina, aż ciemna woda pod mostkiem zda się blednąć ze strachu.

Już jasny dzień stoi w powietrzu, roztoczony po polach bezmiernych wielkim kręgiem promieni.

Niesie nas ciągle naprzód wielka siła całego zamierzenia ofensywnego.

Niepodobna się ustatkować. Każdy wie, że nietylko tu, że równocześnie gdzie indziej całe armje zaczynają dziś swój marsz olbrzymi.

Że właśnie teraz, dziś, 25 kwietnia, pierwszego dnia

walki, skoczyły naprzód znaczne grupy jazdy. Patrzysz na piechotę Śmigłego, na to ziarno najlepsze, na tę wspa-
niałą pszenicę polską, — a równocześnie pod powiekami mrowi ci się konnica Romera, biegnąca po kozackim trakcie.

I równocześnie chwytasz spragnionem uchem jęk północnych ostępów, przez które pędzą naprzód szwoleżerzy. I równocześnie czujesz, jak wszystko w tobie drży z radosnego wzruszenia: To czwarta dywizja piechoty, pod generałem Skierskim, górale, Podhalanie, którzy dziś właśnie zaczynają wielki marsz flankowy. A od północy, od Owruca, dwie ciężkie kolumny grupy Rybaka, które spaść mają na południe.

Jedni będą się bić pod Korosteniem, drudzy spadną na Malin, trzeci to wszystko od północy chmurą orężną nakryją.

Jest tych planów i ciosów, myśli i czynów i śmiechu przyszłego zwycięstwa tak wiele w sercu, żeby człowiek rozleciał się snadnie! Chciałby przy każdej drodze kość swoją, jak drogowskaz wbić, każdą trawę opatrzyć spojrzeniem, dmuchać kurzem z pod kopyt koni, wrzeszczeć w łomocie żelastwa wszystkich baterij, być każdym szumem lasu i każdym pluskiem pomąconych wód. I być tym słonecznym nieznanym losem, który leży przed najdalszą linią placówek.

To nieznane jest tam, gdzie nieprzyjaciel... Tam wszystkie wody są niewiadome, a w mostach kryje się niewiadoma zdrada. Tam wszystkie pola są niepewne i może wszystkie chałupy zawarczą nagle rechotem karabinów.

To nieznane sęczy się tam, zewszą zpod krzaków, zarosli. Leży na łęgach zieleni, tajemnym rzutem blasku perli się w świetle. I w najgłębszej oddali za podstępny snem krajobrazu płonie przez mgły poranka, w białych promieniach słońca.

Ku tym mgłom, ku temu migotaniu brylantowych blizn nieba prowadzi swą brygadę, prosto na Żytomierz, podpułkownik Olszyna.

W starym płaszczu, obwieszony broniami, z kijem piegrzyma w garści, z ostrym nosem, wyskakującym z pomiędzy kościstych policzków, z wielkim garbem map, regulaminów i wiedzy wojskowej na siedzeniu.

Tyle ma na głowie, a jeszcze, oprócz Polski i Ukrainy, całemu światu musi przecie pomagać... Wszystko musi pouczać, naprawiać i polepszać. Cóżby inaczej począł z tą wspaniałą mądrością, którą nabył w Krakowie, Podgórzu i Zwierzyńcu, na Woli i na Skałach Panieńskich i pod Oleandrami.

Tyle w pułkowniku nagromadzonej, najrozumniejszej prawdy a tak mało jej na świecie.

On, Olszyna, „podpułkownik porządeczek“, ojciec wszystkich króciutkich, sześciogodzinnych odpraw polowych, natchniony Skarga oberwanych guzików i nieprzepisowych naszywek, wspaniała obrońca reduty Piłsudskiego, szlachetny gość Szczypiorna, znęcenie austriackie na włoskim froncie, pierwszy powstaniec, dwa lata temu w ukraińskim zalewie ranny, męczony i tonący, cudem jakiejś pomyłki nie dobity, znów więziony, głodzony, znów więzienia buczackie, czy kołomyjskie w fortece

powstań zmieniający, — teraz równym krokiem idzie tę Ukrainę uwalniać w boju wstępnym.

Chociaż i tę wojnę, jak wszystkie inne, prowadzi, rzekłbyś, odniechcenia. To, że się kompanje w prawo i w lewo już rozwijają, — zda się, że to głupstwo... Bo grunt, — kazanie, grunt, ta mądrość cnotliwa, maluczkich naprawianie i dzieł wszystkich niedoskonałych udoskonalenie.

Widać już piechurów, jak niebieskimi paciorkami spią się po zielonej murawie.

Że się kompanje rozwijają, to jest zwykłe, ale —

— Czemużeś bracie uczepił się tej kuchni!?

Bo się żołnierz chwycił złamanej kuchni, dyszlem do innego wozu przywiązanej, zaciężył i kuchnia się od dyszla oderwała.

— A widzisz, — głosi podpułkownik Olszyna, — czepiasz się zamiast iść, czepiasz się zamiast iść!

Żółta twarz pułkownika, z suchym ptasim nosem, we wieczną służbę i naprawę wetkniętym, zdaje się boleć, jakby od tej kuchni los całej ofensywy zależał.

— Żołnierz ma iść na wojnę piechotą. Nie ma jechać bracie. Dobry żołnierz nie da się wieźć! On idzie obydwiema nogami, lewą, prawą i lewą — jak go matka uczyła. To tylko konserwy wiezie wojsko na wojnę.

Nasz samochód pancerny wyjechał już w głąb szosy. Widać, jak w białym słonecznym powietrzu obraca się czarne, fukające benzyną pudło, słysząc, że się nagle zaniosło mechanicznym terkotem karabinów maszynowych.

— To tylko konserwy wiezie na wojnę —

Armaty już gruchoczą od południa, nasz samochód

pancerny w środku szosy obrębia równo dal słonecznej przestrzeni, łańcuchy tyraljerów wiodą granice naprzód, a pułkownik Olszyna z wielkim garbem papierów, map i wszelkiego wojskowego porządeczku, obrotny i gwałtowny, niby lajkonik zwierzyniecki, aż pod Żytomierz zabłąkany, rozdaje ciosy — sękiem toruje sobie drogę i tak właśnie, aż tu, pod Kijów niesie z krakowskiego rynku gderliwą snotę twardej, zwierzynieckiej kości.

WIEŚĆ

Jak lecą skrzydła, polotnym chybkim ruchem, — tak biegnie to zwycięstwo. Śpieszy krokami, których zdyszana radość mierzyć już nie zdoła. Dziś miesza się tu z jutrem, dni nie mają już nocy, noc jest pracą, praca jest wypoczynkiem, cały świat zebrał się w jedno miejsce!

Jesteśmy w deszczu szczęśliwych nazw, w powodzi świetnych zdarzeń.

Wszystko nam sprzyja, chyba los młodości ugodził się tu dla nas z wszelką przeciwnością. Pogoda nas popycha, niesie, sama nieprzyjaciela ukazuje. Drogi nam osuszyła, lasy zapachem napełniła, a mosty szczelną skłonnością i leci, pędzi naprzód, bijąc o wielkie niebo szarem skrzydłem pochodu.

Ludzie nas błogosławią. Pomoc, wskazanie i wszelkie ułatwienie bieży samo naprzeciw.

Piłsudski ciska się po całym froncie. Dziś widział jazdę, popołudniu artylerję, jutro piechotę, pojutrze radzi znów z generałami. Dowódcy świadczą, żeby dalej nie jechał, że drogi są niepewne, że watahy nieprzyjaciela snują się po lasach...

Marszałek śmieje się, — drogi są pewne, — i pędzi, a za nim auta, — jak bąki.

Deszcz wziętych wsi, grad punktów, węzłów miast... Cała magistrala kolejowa przed Kijowem strzaskana. Teraz się włóczą po bocznicach wielkie, groźne glizdy bolszewickich pancerek i same padają pod ogień artylerji.

Bitwy ciągną po sobie szybko, niby chmury wiosenne. Pod Wilskiem strzaskano Chińczyków, w Żytomierzu nie zdążyli nawet zarządzić alarmu, rozbici są pod Korosteniem, rozbici pod Owruczem, rozbici w Berdyczowie, rozbici w Koziatynie. Sparaliżowane miasta unoszą oddechem ulgi swą pierś kamienną, bezludna dotąd droga roi się znów od ludzi.

Wieść cudowna, która biegnie z rozstaja horyzontów, tak bogata, że nikt już mierzyć jej nie raczy. Idzie z nią pośpiech, snem trudu przetykany, kwapi się uznojenie, w którym wiruje ten błam Ukrainy.

Wieść słodkousta, szumiąca winem krwi, wieść, która hasa po rzeczach, stacjach, domach, miastach, ludziach, rzekach, strumieniach i kurhanach! Która sznurami gwiazd niebieskich ścieka w puszystą noc z mosiężnych trybów radjo, która głosem samochodów majstruje wciąż w przychylnej dali, która szmerem podziwu nurtuje ciemne głodne gromady jeńców, która się leje po tej ziemi, poczęstunkiem złotej śmietany, niesionej w glinianym garnku, śmietany godnej najżarliwszego pargnienia, ależ więcej, — godnej przemian Owidjusza.

Ta dumna wieść otwiera usta żołnierza w czasie snu pustym śmiechem, przesłanym daleko na zachód, w tę stronę, gdzie stoi, wyniosła pośród czarnych niebiosów, gwiazda polskiej Ojczyzny.

KURZ I ŚNIEG

Mam wrażenie, że w przyzwoitej wojskowej posturze trzyma mnie już tylko mój własny pas, ściskający przez pól.

Zapewne wszyscy są tak samo pomęczeni.

Kapitan Perrini, dowódca flotyli napowietrznej, kończy odprawę. Tyłem do mnie stoi sześciu granatowych lotników. Pomiędzy ich barkami przebłyskuje, od strony okna, białe pasmo świeżego bzu.

A po szosie lecą zwiewne kule pyłu. Cały świat znika nagle w ich obwodzie. Już się rozeszły. A oto znów pędzą. Widzisz je, jak mijają, jedno za drugim, niby wędrownie garby dalekich dróg.

Podpułkownik sztabu generalnego Stachiewicz, chce się dowiedzieć, za ile minut doleci do linii bolszewickiego odwrotu.

Oficerowie skupiają się blisko nad mapą. Młode czupryny lotników obrzeża smukła kiść bzu śnieżnym urokiem.

Znów nie widać aeroplanów za szosą. Kurz rozpostarł swe wiotkie, płynne ramiona i nagle, wszystkimi razem przypadł płasko do pola.

Kapitan Perrini wciąż jeszcze mówi. Język polski

brzmi w jego ustach, jakby brzmiała jakaś mowa, po cudownem ocaleniu z nieszczęśliwego wypadku.

Dopiero rok jest w Polsce — pochodzi z Włoch.

Dyspozycja skończona.

Wszyscy patrzą na aeroplany, które stoją nieruchomo, niby żelazne, olbrzymie pszczoły o szerokich, sztywnych skrzydłach.

Teraz już rozmawia się całkiem swobodnie. Wśród białych ścian ukraińskiej chaty rozbrzmiewa naraz kilka języków zachodniej Europy. Słowa mieszają się wciąż z różnemi stronami świata, — bo ci ludzie latali wszędzie. Góry w opowiadaniu ich nabierają znaczenia rzek, które się przepływa, a odległe miejscowości dotykają się wzajem, rzekłbyś, łokciami.

Idziemy do maszyn przez szeroki, wzlotami starszony wydmuch.

— Niktby w czasie światowej wojny, — objaśnia Perrini, — nie latał na takich aparatach. Te maszyny za nic już nie odpowiadają.

Zaczyna się dłubanie w ogromnym odwłoku pszczoły. Ma ona wnętrzości urządzone z metalowych walców, przewodów, gumowych kiszek, zamykanych brodawkami z białej porcelany.

Opleciona jest grubym drutem. Ma dziurę w środkowej części ogona. W tej dziurze siedzi oficer, który kieruje karabinem maszynowym.

Teraz właśnie odkręcają ten karabin.

Podobny jest do stalowego, kościstego pasorzyta.

Powyżej jest miejsce dla pilota. Parę przekładni, parę

kontaktów, — bardzo ograniczona ortografia znanego człowiekowi ruchu.

Dotykamy skrzydeł maszyny, impregnowanych, buczących pod palcami.

Tymczasem mechanik rozkręcił jedno kółko motoru. W czarnych i ciepłych palcach szeleszczą druty i gładkie węgielki.

Odbywa się łapczywe karmienie tego owada. Do wszystkich nerwów, wylotów, połączeń przysać się musi metalowa szpryca, która, pukając wyświechtanym brzuszkiem, wciska w sztywne żyły motoru czarną oliwę.

Ktoś ostukuje gładkie biodro śmigi.

Z jakiego drzewa?

— Śmigi robi się, o ile możliwości, z wielu gatunków. Aby miały jak największą twardość.

Więc w tym gładziuskim, politurowanym goleniu śpi cały las... Więc to las wiosłuje w powietrzu, on, który, jak nikt, umie motać wichry i osłaniać przestrzenie.

Już wszystko gotowe, przymierzone, dokręcone domknięte. Teraz trzeba, żeby chwycił motor.

Zaczyna się coś, coby można nazwać wyzywaniem przestrzeni nadaremno. Dwóch żołnierzy szczepia się w dwa ogniwa. Jeden puszcza śmigę, drugi, dla większego rozmachu, odrzuca kolegę wbok.

— Kontakt, — wołają.

— Kontakt, — odpowiadają, — i rzut.

Śmiga za każdym razem ospale przekreśla powietrze i, odmachnąwszy się, wraca do pozycji.

— Kontakt, — wołają. Kontakt, — odpowiadają.

Maszyna odmierzy parę słów swej benzynowej wymo-

wy i umilknie. Żołnierze we dwóch, rzekłbyś strzep mięsa, skaczą na nóż śmigi, śmiga ten strzępek szybko przetnie — i stanie.

— No, na wielką wojnę niktby nie pojechała, dawniej, takim maszyną, — twierdzi stanowczo kapitan Perrini.

Znów się cisnęli, znów wąskim ochłapem zwiniętego mięśnia wdół odpadli.

Nagle odwłok pszczoły począł z hukiem dygotać, żelazne płuca jęły rozdzierać powietrze, — śmiga rozrosła się w malutkie politurowane słońce. Słońce to w piekielnym łoscocie znikło, zostawiając po sobie szarą, nieuchwytną aureolę straszliwego obrotu.

Ktoś chwycił mnie za ramię i z całej siły szarpnął wtył.

— Pocóż pan podchodzi, — jeszcze krok, a przecięłoby panu głowę. Taka śmiga tnie człowieka, jak masło.

Prawda. Te wszystkie rzeczy są tak szybkie, tak dokładne, że trudno, aby obok nich wciąż nie stąpało przewrotne rozstargnienie.

Trawa zjeżyła się dokoła od pędu powietrza.

W taki świat, — z kilkoma drucikami, ze szczyptą fizyki, z formułą suchej wiedzy...

Nareszcie obaj usiedli w odwłoku maszyny, podpułkownik i pilot, obleczeni w szare domina, z twarzami, jak pyszczki gacków, wystającymi ze skórzanych mycek.

Zaraz ruszą... Na spotkanie, od strony szosy, toczy się ku nam ciemna, rozczochrana głowa kurzu. Toczy się, wzrasta, podskakuje, niby jakowaś omyłka zabłąkana wśród kwitnącej zieleni.

Ruszyli.

Pożegnaliśmy się z lotnikami i wracamy.

Droga prowadzi wśród opłotków, z za których wybuchają białe, kwitnące szczęście dzikich wiśni. Podchorąży układa ogromny bukiet, ja zaś lubuję się w starym rozumie uschłych kołków, bogobojnie wspierających płochą wiosnę tego płotu.

Już nie widać podchorążego, tak głęboko wdarł się w śnieżną gęstwinę. Słyszę tylko łamanie gałęzi i kilka słów, które mówi obojętnie.

— Pomyśleć, że za godzinę powrócą z nad Kijowa.

Za godzinę wieziono ich pół przytomnych do stacji, z głowami w białych turbanach bandażu, który im błyszczał na skroniach, — jakby śnieg mroźnych wysokości.

ZAGNANY KOŃ

Orkiestra miętosi triumfalnego marsza, malutki siwy generał Skierski, w ogromnych niebieskich spodniach, chyba że aż po pachy, wychodzi na stopnie wagonu Naczelnego Wodza. Stalowy płot kompanji honorowej właśnie spoczął w słońcu. W głębi dworca pełno ludzi.

Na budynku widnieje jeszcze napis: *Iskorost*.

Pułkownicy, dowódcy grup, które szturmowały ten Korosteń, przechadzają się przed frontem, czcigodnie sięgając spódnicami wojskowych płaszczów. Wdali przecina pogodny blask lekką tkaninę mgły.

Już się drzwi za generałem zatrzęsęły.

Któryż to raz w czasie tej kampanji słucha Naczelnego Wódz szczegółowych raportów dowódcy! Każdy z tych generałów wie, że wcześniej, czy później, zjawi się ta ważna chwila. Całą ceremonję wezmą nagle djabli i, z mapką swego odcinka, stanie się w małym salonowym przedziale... Będzie się zdawać sprawę z przeprowadzonej roboty temu Strzelcowi w niebieskiej kurcie, który przez cały czas raportu chodzi szybkim krokiem piechura tam i napowrót po ciasnym wagonie.

Na stacji i za stacją i wszędzie pełno żołnierzy. Leżą twarzami do słońca, wsparci na kamieniach, plecakach,

łokciach, manierkach. W otwartych ustach piechurów płonie odbłaskiem krwi różowe światło snu. Bezgraniczny trud marszów powalił ich na ziemię gruntownie.

Ziemia ta nie jest tu, jak wszędzie, równa i płynna, lecz właśnie zniecierpliwiona, związana górką i doliną, porywami wysokości biegnąca.

Stara, prastara ziemia cudnej księżniczki Olgi, która mieszkała w Owruczu, a tu miała letnie wywczasy i tu się zaraz niedaleko, na zielonych kamieniach w niebieskiej wodzie kąpała. I tu się od Tatarów broniła, białe gołębie z płonącymi żagwiami u skrzydeł, na oblegane miasto wysyłając.

Stara, prastara ziemia, kołyska miękkiego wdzięku i twardego okrucieństwa, — kołyska Rosji.

Tu, w ostatnich latach przed wojną, wznosili pałac, sadzili park wierni słudzy ostatniego carewicza, który z ojcem swym zginął na zawsze w rękach motłochu.

Zeszliliśmy wdół z biegiem strumienia.

Zostańmy chwilę.

Słoneczna cisza lepi się słodko pośród osiwiiałych kamieni, zniesionych na ten czarnoziem niepojętych wysiłkiem natury.

Z oddali widać zielone kopuły cerkwi.

Jasna fanfara któregoś pułku piechoty mieni się pośród nich potężnym dźwiękiem. Plusk wody fanfarę porywa, zwodzi, ponad falę podrzuca, przez słońce cedzi, pod modrą falę bierze i wdół po głazach tula, aż tu.

Aż tu, gdzieśmy stanęli nagle.

Leży tu na murawie krępy rosyjski koń.

Martwy.

Z tych koni, co to chodzą, chodzą i gonią, nie jedzą, a służą. Nogi wyciągnął przed siebie. Grzywę czarną na trawie rozścielił. Pasma tej grzywy, niby czarne płomienie, wiją się między białymi strzępami wielu odezów, które tu ktoś obok porzucił w ucieczce.

— Widzisz, ten koń zagnany, to jest Rosja, — rzekł mój towarzysz, — tu, u swych źródeł odezami ukamienowana.

Może istotnie tu, na brzegu strumienia, w którym swą krasę smagłą chłodziła księżniczka — DREWLANKA. Tu, na najstarszej ziemi ruskiej, pod niebem tak cudownem, gdzie teraz wielki Wódz polski potrąca wahadło nowych czasów.

CUD

Kiedyśmy przyszli nad dawne rzeki, nad dawne bory, nad dawne brzegi naszej minionej siły i potęgi, a zarazem nad skraj i przepaść naszych win stuletnich...

Kiedy na trawę zapomnianych od tak dawna stron upadł żołnierz rumiany od znojnego pościgu; kiedy cisnął buty na ziemię i w zimniutkich potokach zanurzył swe nogi schodzone; kiedy ustawił broń i plecy swe juczne położył znowu na tej ziemi, — jak ich tu nie kładł od dawnego, strasznego czasu, gdy stąd, lat temu przeszło sto, na wieki zda się, — odchodził...

Kiedy takim sposobem zakończył pierwsze swe prace, wszystkie linje, magistrale, zapory, pancerniki przetrąciwszy, — cóż stało się?!

Oto niebo wezbrało swą pierś ogromną, pochyliły się drzewa, przybladł las, zećmiło się zboże, woda okryła się w potokach zmarszczkami jakiejś, zda się, nadziemskiej troski.

I jakby ktoś bezdenne wagi błękitu odwrócił nagle i chlusnął z nich na tę ziemię pośpiesznie, — wszystką, wszystką wodę ochłodził!

Deszcz przeleciał rześisty, do którego żołnierze, tu dziś, na granicy 1772 roku stojący, — wyciągali ręce, skłaniali twarze, otwierali usta.

Dotąd wszystkie sprawy słońce żarliwie wspomagało, teraz znów, na postoju, w obszarach tej granicy ojców, nieomal zapomnianej, przywitała całą armię dobra bujna woda nagłego zgromadzenia chmur wiosennych.

A potem, na noc, rozwinął się czyściutki firmament, patrzący nieprzeliczonem srebrem gwiazd. Na liściach i gałęziach liczyły się jeszcze krople niedawnej ulewy, zaś w boru, w gaju stał dźwięk słowicy, echem po rosach płynący. Niewidzialna, niezłowiona harfa cudowności, — całe niebo głosów pękami brzmień w ciemnościach księżycowych rozkwitłe.

Czy wiedział kto, czy nie wiedział, jakie szlaki przekracza, którą drogą zmierza, gdzie jest: odczuwał każdy tę noc majową, jak się doznaje szczęścia.

Tak się działo w pierwszych dniach maja 1920 roku na starej polskiej granicy z roku 1772 w całym wojsku Marszałka Piłsudskiego nad Teterewem i Irpeniem, nad rzekami, wśród lasów i pól Ukrainy, ustawionem.

Tak się tu spotkały młode szeregi z wodą burzy upragnionej i z nocą wielkiego snu.

FIGI

Mnie i jeszcze jednego poniosło za rzemieniami. Będą nowe rzemienie, albo angielskie taszki na mapy z kompasem, z kartką, z podziałką, tak wygodne, że tylko w nich przedziału sypialnego nie dostaje. Albo wspańnięte popręgi amerykańskie, jakich świat nie widział, — i uzdy.

Skóry chrzęszczące, nowe i tanie, — powiadali, że można dostać w Berdyczowie.

Każdy, kto mówi o Berdyczowie, robi okrągłe oczy, okrągłe usta, zaokrągla brwi, nawet nos mu się równa kulisto do okrągłości niewysłowionego podziwu.

Berdyczów jest, jak rak... Wysusza dookoła siebie całym doszczętnie.

Podobno bolszewicy zostawili tam kolosalne składy. Nieprzebrane mrowie dobytku. Dobytek ten znikł w ciągu jednego dnia. Potem znów Poznańczykom przydarzyła się tam wielka mnogość przyrządów naukowych, szklanych, soczewkowatych, uczonych, a bardzo drogich, nikomu prócz wiedzy niepotrzebnych.

Przyrządy te, również w przeciągu kilku godzin, wsiąkły całkowicie w berdyczowską ludność. Teraz już nikt nie odszuka, co, jak, którydy. Trzebaby nato znać drogę

do podziemi Berdyczowa, gdzie jest całe miasto, całe prawo i wielka praca podziemna.

Słychać nawet w nocy pracowite dyszenie tego podskórnego życia. Drukarnie tam idą pono, warsztaty, fabryki.

Doczepiliśmy się do spraw zamierzonej uroczystości i pojechaliśmy do Berdyczowa.

Tak, — załatwić polecenia, wspomóc służbę. A z reszty czasu, z tej kropli, co sobie padnie niechcący za szerokie brzegi obowiązku, mały użytek chcieliśmy zrobić dla naszych chudych, niegodnych interesów, które są oczywiście niegodne w tej chwili wielkiej. Ale tak małe, że komuż jakieś zło przynieść zdołają?

Berdyczów leży w zieleni pól i lasów, rozprzestrzeniony, jak liszaj ogromny. Łuszczycą swych dachów wytrawił wszelką zielenią ze swego obwodu i buja szeroko, na podobieństwo złośliwego nowotworu.

Chodzimy po ślepych, chorych uliczkach, między ludźmi, którzy są obkruszeni i chromi, tak samo, jak okruchy lepianki i sparciałych murów.

Chodzimy, gibamy się z nogi na nogę, bijemy rękawicami w zawarte drzwi maleńkich sklepów.

Nic i nic, nikt nie otwiera.

Więc podpieramy biodra jedną ręką, podczas, gdy druga puka oto dalej dostojnie. Aż wreszcie odpowiada coś z głębi, chrzęstem i cierpliwym utyskiem.

Coś, — na granicy ludzkiego głosu i szelestu żelaza, skór, gum, sprzętów.

Odpowiada zatwardziały głos towaru.

Po chwili wyłonił się z za węgła ruchomy, rozdarty

człeczek, patrzący przed się kaprawami kropłami, które mogłyby chyba bezpowrotnie upaść na maleńki brucek kamiennej łamigłówki, tak luźnie obracają się w czerwonych powiekach.

Człeczek ów osadził się, jakgdyby jeszcze raz na swej własnej marności i przemówił ochryłym żargonem.

Wynikło z tego, że towar nie na tej ulicy, — właśnie nie na tej.

Bijemy się po kieszeniach dumnie. Tak jest, zapłacimy: nie o to chodzi, — lecz gdzie można dostać wogóle takie rzemienie, taszki, skóry?

Człeczek marszczy się, kruszy, w niewytłumaczony sposób zaciąga się cały włosiem i jakąś kosmatą niedolą, która mu gotowa zarosnąć nawet czerwone szparki powiek.

Tam, u innego, gdzie indziej.

I znowu przez łamigłówkę kamyków, pod ganeczkami, z których, jak liany, spływa w tłustych warkoczach brud, śmieciem przerośnięty, przez podwórka, na których wnętrzności kury i gęsi leżą, niby opalowe, mętne klejnoty, gdzie indziej, do tego innego.

Tak doszliśmy aż do klasztoru. Któżby się nie pokłonił murom pamiętliwym, któżby ominął chłodne cienie barokowej bramy, któżby w białym pierścieniu amfilady nie uczcił rozbitych urn i rozłamanych kwiatów kamiennych

I znowu przez łamigłówkę kamyków, pod ganeczkami, z węgła do węgła, — ażeśmy przyszli, skądśmy wyszli, bez niczego i tylko z czczym powiewem rękawicy w dłoniach.

I głodni!

Zaczęliśmy teraz kierować się celowo, aby zahaczyć o jakąś władzę, która chyba, jak wszyscy śmiertelni w czasie obiadu, — obiaduje.

Laskawy los nadarzył nam cały wagon władzy, — naszego generalnego komisarza Mińkiewicza, z polskimi urzędnikami.

Zaraz zdjęliśmy z siebie pasy, przeliczyli spojrzeniem uczestników i możliwości wagonowej jadalni.

Niech tu będzie sprawiedliwie powiedziane o nas i o urzędnikach, którzy chodzą w mundurach polskich i noszą złote gwiazdy w srebrnej skibie na kołnierzach, — że dobrego losu zbytnio nie fatygują.

Jedzenie, jak na takie wysokie guwernowanie, jak na tak przełomową dziejowość, — nikłe. Raz zaledwie powtórzona wódeczka, poparta trocinową rybką z puszki, zielony koperek na wątlm pływający rosółku, ogromnie twarde mięsko!

Urzędniki nasze i dostojniki gadają o Ukrainie.

Jeden wysoki, zawzięty redaktor kresowej polskości, Wołoszynowski. Drugi urzędnik, Zagórski, bywały „w Paryżach, djabłach i Londynach“, po ukraińsku „każe“ świetnie i między rybką a rybką podrzuca wciąż, jak przynętę, pulchne słowo „ap-parat“.

Ukraińcy ciągle powtarzają pono, że teraz „pierwsza rzecz u nich będzie stworzyć własne ap-pa-raty“.

— Niech żyje ap-pa-rat!

— Pan się śmieje?

— Wcale się nie śmieję, — odpowiada urzędnik, — raczej mają, że marzą o tym aparacie. Proszę nam

nie brać za złe, że o tych wszystkich rzeczach mówimy tak poprostu. Każdy z nas, — zna ten kraj, pokumał się z nim, tu, czy tam, niedaleko chadzał pod własną szubienicą, lub obrywał się już ze sznurka, lub pod murkiem miał być zaciukany... Każdy z nas prawie wachał tu kolbę, która mu głowę miała rozmiażdżyć...

My wszyscy służyliśmy tu w P. O. W.

Rozmarzyły mnie te dwie komisarские wódeczki i patrzę z rzewnem błogosławieństwem w oczach na tę władzę naszą cywilną, gładką, naoliwioną politycznie, zaciśniętą w pół-wojskowe mundurki, na ten nasz eksport pożywny, sprasowany dokładnie, jak wyborowe figi.

NA DWORCU BERDYCZOWSKIM

Ze wszystkich drzwi wysypują się na peron małe dzieci, w dzierganych spódnicach lub kolorowych majtasach. Z miłąkłym odgłosem łapci wkracza szkółka męska, malcy wypinają piersi opięte płóciennym, czarny surdut nauczyciela płynie nad nimi.

Jeszcze niema jednego sztandaru, jeszcze go nie przynieśli. Dwaj skauci wypuszczają się, jak legawce, dopadli naczelnika stacji, wstrząsnęli księdzem, zmierzwiili nauczyciela, zaplątali się w sznury kilku adjutantów, wreszcie przeskoczyli przez generała Listowskiego w rozpędzie i oto śpieszą, śpieszą. Nareszcie zziąjani wnoszą ten sztandar, na który złożyły się ich wszystkie oszczędności.

Teraz już wszystko jest.

Są jacyś dyrektorzy, jest społeczeństwo, jest czarny, czcigodny ducnowny, kołyszą się w oczekiwaniu ważnego wydarzenia zacne nauczycielki. Jest to wszystko, co się tu ziemi uczepiło sercem kresowem, co się tu ciulało, zbierało, chroniło, — i przecież ostało.

Obok dwurząd jakiego bataljonu, który, gdy się na komendę spreżył, wszystko we mnie zamarło...

Komenda była nie nasza, — a wojsko ukraińskie.

Już przyjechał Naczelnny Wódz.

Przeszedł przed frontem żołnierzy i przed białą wiązką sokolic, kroczący niby furkocie liljowego ptactwa, — w deszczu gałązek bzu.

Dziwnie ma się nasz Wódz do dzieci: Ma się, jak do żołnierzy. Nie rozczula się, nie roztkliwia. Stanie przed Nim dwóch malców, z olbrzymiemi wiatrakami kokardy atłasowej pod brodą... Zaczną mówić swój nauczony wierszyk...

A On, Wódz, rękę na głowie tego dziecka położył, lecz nie patrzy na nie. Jakby poprzez te główki wiecznie w przyszłość patrzył.

Na dworcu przygotowują miejsce dla nowego pociągu. Ataman Petlura przyjeżdża za kilka chwil z Winnicy.

Już biegną ku niemu oficerowie ukraińscy.

Z wagonów wyskakują łącznicy i najbliższa świta. W długich granatowych czamarach.

Sam pociąg, — nie można powiedzieć, by był bogaty. Jest ubogi.

Petlura siedzi jeszcze w swoim wagonie. Po dworcu kręcą się jego mołojcy bardzo smagli, dobrze dobrani. Za pomieszczeniem dla żołnierzy stoi na lorze auto atamana.

— Jedno tylko ma? — pytam.

— Nie wiem, czy jedno, ale zato taki morowy Cadillac, — gderze za mną nasz herszt automobilowy, Meyer.

Na Cadillacu z kół, z latarń, z obręczy, z oparc, zwieszają się gałęzie przywiedłego bzu.

Nasz Wódz nie ma czasu zbierać i chować tych oznak

hołdu, radości, — a oni sobie tam w Winnicy zbierali i skromnie oszczędzają.

Ataman nie pokazuje się jeszcze. Musi się jeszcze wyklarować cała ceremonia.

Dopiero po przyjeździe ukraińskiego pociągu widać, jak wszędzie dużo nas jest i jak wszędzie nasze barwy rozkwitają. Żółto-niebieska chorągiewka na samochodzie atamana trzepoce samotnem skrzydełkiem.

Ceremonja już się wygotowała!

Ataman schodzi po stopniach wagonu, z głową lekko ku prawemu ramieniu przechyloną. Jest średniego wzrostu, dość krępy, złotowłosy, w granatowej świtce.

Oczy jego błędą po oficerach polskich i ukraińskich.

Czuję, że w tej chwili my i oni chcemy jak najlepiej, — na długo i na zawsze... I to się właśnie wyraża w poważnym sprężystym ukłonie wojskowym, wszystkich oficerów, którym ścielona jest cała droga Atamana od stacji, aż do pociągu Naczelnego Wodza.

Razem z tym ukłonem cisza upadła na plac, objęła mrowie żołnierzy i ludności. Tak wielka, żeby w niej można było usłyszeć ciszę niebiosów, przyciętą gdzieś u brzegu dachów jasnym świegotem wróbli.

Ataman znajduje się w połowie drogi między stacją a wartą honorową. Z ciemnego tła pociągu występują tak wyraźnie białe blaski na hełmach. Nieruchome oczy żołnierzy rozgranicza matowa pręga sprezentowanych pionowo karabinów.

Przy schodach odprawił Ataman swiętę i dalej idzie sam.

Teraz go widać, jak mija pierwsze okno, powolny, złotowłosy, — zdrożony brodnik Ukrainy.

Granatowa czamara mija już środek szyby.

Naprzeciw niej w drugim końcu korytarza ukazał się właśnie, schylony, naprzód podany, prędko:

Rzekłbyś prędko, szary orzeł o małej głowie, odlanej z spiżu...

Jeszcze ich cztery kroki dzielą... Aż oto wyciągnęli ku sobie ręce i skłonili głowy, — do pocałunku.

A mnie się zdało, że w pocałunku tym, jakgdyby na wadze najczulszej zawisła zgroza wszystkiej krwi regimentarzy i atamanów, wszystek ból długiej walki, ból dróg i bezdroży, pożaru i zniszczenia, umowy i rozłamu...

Jakby nagle na najcieńszej granicy, gdzie się los między szczęściem, a zbrodnią przechyla, — zakwitła wreszcie miłość.

WIEŻA BABEL

Na wysokim zajęździe kamiennym przedziwna karawana:

Tłum przybyszów, odzianych w cywilne, eleganckie sukna, kupa skórzanych walizek, skrzynki konserw blaszanych, na których lśnią duże angielskie napisy.

Jakiś oficer obiegał tę wysepkę koców, kufrów, sztylp, okrętek, pledów i kapeluszy, z pomiędzy których wysmykiwały się wciąż obce, różnojęzyczne słowa. Słowa te zdawały się udręczać wielce tego oficera, który wszystkich wojskowych przechodniów zatrzymywał, rozpytując, czy władają jakimś obcym językiem.

Podszedłem tedy, chcąc wesprzeć kolegę i obejrzeć cudzoziemców.

Patrzę na człowieka zimnem szklanem okiem między narodowej ciekawości, a zapytani ciskają odrazu nazwy wielkich wszechświatowych dzienników.

Więc to prasa!

Posypało się na mnie z góry tych kilkadziesiąt tytułów, któremi rozbrzmiewają największe ulice świata. I zaraz z głębi pamięci mej, tu w Żytomierzu, zerwały się wszystkie papierzane słowa, brukowy żywot wiodące,

wśród żelaznego świata. Times, Journal, Temps, Manchester Guardian, Petit Parisien, Illustration, Daily News, Chicago-Tribune, New-York Herald, — wszystkie te redakcje, krągłemi ślepiami białych lamp patrzące na złote noce stolic.

Prawo tymen przedstawicieli do wszędobylstwa zdało mi się nagle tak konieczne, że z żalem i niesmakiem dla samego siebie, jałem odpowiadać na łapczywe pytania...

Oni zaś dobyli notesów i na białe kartki szybko jęli saczyć kręte, spieczone niteczki pisma swego, to się rwące, to znów złączone, — grubi, zwarci, — niby różowe robaki, które jeszcze jeść nie skończą, a już się karm, przez nich spożyta, w cieniutki kał przobraża.

Od strony miasta wyskoczyły samochody.

Wielcy dziennikarze upakowali się na ceratowych poduszkach, kufrы i torby jęknęły, i już wozy, upakowane tą prasą — odjechały.

Zostałem sam naprzeciw jedynej, opuszczonej przed dworcem dorożki.

Nie wiem, kogo tu przywiozła, bo nie było przy niej ani woźnicy, ani gościa.

A jednak jakby to ona właśnie była jedyną prawdą wszystkiego, co się tu działo, dziś dzieje, czy kiedyś dziać będzie... Większą prawdą, niż ów pęk tłustych członków głośniejszej prasy świata, co przed chwilą odjechali, ułożeni na poduszkach...

Oto stoją okrągłe koła tej dorożki, na których wznosi się — zaprawdę nie żelazo i nie oparcia, a rzekłbyś sama

dusza wędrownego miejsca. Nad nią koziół tak cienki, że szkielet mógłby z niego powozić...

Wszystko tak stare, że aż przezroczyście. Zwitek sznurków i łąt i spleśniałych rzemieni. Zwitek szarej, zakurzonej pajęczyny, zaprzężony w starego konia.

Obcignięte boki zwierzęcia pokrywa szara skóra, cieńsza, niż plusz zleżały. Pół zamknięte źrenice mżą słabem światłem pobłażania, a krwawe do uśmiechu otwarte wargi, rozchyła i jakby z wiatrem porusza, — sama pustka.

KIJÓW

Po górkach i drogach, po wojnach i trudach zbliżamy się nareszcie do miasta, które jest złotym kluczem tej uroczej ziemi.

I nie dlatego woła żołnierz i nie dlatego musi pośpieszać koń i nie dlatego trzody poganiana się żarliwie z miejsca na miejsce i nie dlatego płynie obfity pot, — żeby się miało do zbytów, do rzadkich złotogłowiów dobrać!

Ale, że pośpieszamy i przybywamy do miasta, które ma wielką duszę. Które nazwisko swe budowało wiekami wojen, modlitwy oraz cierpień.

Dlatego żołnierz, resztką tchu śpieszący za swym cieniem, liczy słupy przydrożne, dlatego spierają się oficerzy o przydział do służb i zajęć w tem mieście.

Teraz ma miasto wziąć twarda ręka polskiego generała i ma je z wszystkimi skarbami, kopułami, cudami, świętościami, jak garść klejnotów oddać i zsypać w dłoń Atamana.

Im bliżej, tem bardziej jeszcze step się tu podnosi. Ziemia leci pod górę, znów opada. Lasy zabiegają drogę, głębokie, czarne, jak jeziora szumiące, — w których

armje całe tonąć mogą, niczem garstki rupieci w stawie bezbrzeżnym.

To znów górki stepem przeciwstawiają się, to znów śpieszne kroki zatrzymuje rozlewny jar, do którego skłonów jak szare owce trzód, tulą się strzechy wsi. To znów pustka przegina się na płodnych polach w kwilącym wietrze rozciągnięta, — ku jakimże granicom niedościgłym!?

Kto nas widzi, gdy tak idziemy kolumnami długimi, poganiani młodością, wielką myślą opętani, w kurzu dróg szczęśliwi i pragnący?

Nie patrzy na nas ten chłop, co nas raczy ze swych garów chrobotliwych, z których my złapiemy gębami hoplitów zimną ochłodę mleka, tak potrzebną, chwalebłą w tym skwarze.

Nie patrzy na nas chłop i nie te baby. I nie baby i nie dzieci i nie popy...

Ale spoziera na nas sława wyniosła, którą w lubej nieświadomości czujemy, wmięszaną powszędą w każdej drobinie kurzu, w każdym cieniu, — i wysoko na niebieskich stropach błękitu lśniąca.

I tak idziemy, póki nie dojdziemy przez wszystko, co spotykają rozpętane serca i sroga broń na drodze wielkiej, niebezpiecznej, przez to wszystko, opisane, nieopisane, — aż ku murom miasta, ku murom odwiecznego Kijowa.

Mury, — wieki, — i prace, trudy, cierpienia, — losy!

Światłość tarza się w zieloności, a blask jest tak wezbrany w kopułach cerkwi szmaragdowych, — że myślisz, — zaraz porwie je ku górze, pogna siłą polotną przez

wszystkie chmury i błękitne rozłogi. I nagle spłyną te kopuły daleko w krąg niebieski, gromadą bulw tęczowych.

Nowość nieznana daje znaki, wykwita wieżami, piętrzy się w ścianach wysokich, niskich, obcych.

Jesteśmy już w Kijowie!!!

Na ulicach przeróżnaitych przypatrujemy się ludowi miejskiemu, omijając wzgardliwym spojrzeniem mężczyzn, pilni i przypochlebni względem kobiet.

Święci, którzy stoicie malowani na murach, podparci ongiś dłońmi Mazepy, święci długowłose, odziani w krasę tysiącleci, zapatrzeni w pustkę przemijania, zbożnie doświadczający przepływu nieba, czasu!

Wrota przemożne, między którymi w cudownych kapach chodzi pop, podobny do huczącego modlitwami słupa malachitu.

A ze sprószonych wiekami podłóg kamiennych chóry odpowiadają, nisko, wysoko, i górą i znów dołem, — niby płuca anielskie, w których oddycha tajna mądrość ob-rządku.

Wrota, wrota!!!

Carskie wrota, wielki srebrny płocie, za którym lśnią złote winogrona, a kute słońca, niby rozżarzone pająki spoczęły nieruchomo pomiędzy świętymi.

Wrota, obszyte sznurami gwiazd, wysadzone głowami aniołów, nie przestąpione, za którymi leży okuta księga i płynący nad nią w nieskończoność głos śpiewnej modlitwy!

Starości — i Nowości!

Hotele, w których gził się dostatek całej Rosji, — on-

giś zawsze pachnące piżmami i rakami, dziś w przewodach swych od dołu do najwyższych pięter zatkane śmieciem.

Place olbrzymie, zapełnione pogruchotaną bronią, kilometry zepsutych armat, — wojno świata, która tu pykiem tysięcy dział wypaproszonych szczerzysz gniew swój ku niebu!

W cerkwiach, gdzie bizantyński Bóg poziera z góry płaskimi oczyma na mrok swego domu, śladami Rosjan, Francuzów, Anglików, Polaków, Ukraińców, Niemców, śladami narodów, ludów, szczepów, po ruinach, zgłiszczach, w przewiewie ogrodów, po spaleniznie, wszędzie, — stąpa ona, kobieta tego miasta, w małym lekkim obuciu na gołych atlasowych nogach, pod światło przeźroczyście.

A ty, choć widzisz, że wszędzie płocze mnóstwo uganiania szczęśliwie, szukasz jej ustawicznie po mieście i tu i tam, i nad wyniosłym brzegiem, z którego przez rzekę na brzeg drugi pada kraj w lśniących błamach zieleni, przetykany niebieską strugą ramion dnieprowych.

Miedzy te ramiona wód i lasów poleciały nasze pułki, po mostach przejechała armata i poskoczył na koniu generał Śmigły, twardy, bystry i zwrotny, jak sen chłopięcy o młodości i sławie wojennej.

Słońce zachodzi.

Właśnie w granatowych zamysłach nieśmiałej jeszcze nocy świat grażyć się poczyna, gdy oto patrzcie:

Z pośród czarno-niebieskich ramion, wody i lasu, wybucha błyskawica... I huk donośny raz po raz obejmuje złociste rozległości. To głos dział dudni w bezmiarach

a nawskos od porywów orężnego gromu, na zwoju akşamitnej szarzyzny chmur, coś się przerywa, drga i znowu czerwienieje...

Już obszyło lamą ognistą wielkie zwaliska chmur, już się z nich wydobywa, już się na szczycie uwiło w rozżgloną koronę... Z korony tej na świat mgłami spowity padają krople, strzępy, rozwiane poły, błamy, całe płachty ogniste...

Całe płachty pożogi, zwoje płomieni, — ognie powstania płyną wdół z uwitej na niebie korony pożarów Ukrainy.

KURANT

Tak człowiek latał, gonił, że prawie o własnem życiu już zapomniał. Nie pamięta, czy ma jakich bliskich. Czy tam za nim kto wzdycha, czy nie wzdycha. Czy pisze listy, czy też z kim innym chadza w mrokach ogrodu pod ramię?...

Czy, gdy się budzi twój swat, ciebie szuka pierwszą myślą, czy też już cię nie szuka, — a puste po tobie miejsce, nowym kłopotem wypełnił?

Ona zaś czy różowe nogi z pod kołdry ku rankowi wyrzuciwszy, o tobie myśli, — czy też w jej myślach zbłądłeś już, tak samo, jak o świcie błędnie różowy sierp księżycy.

Nic o tem nie wiemy, żaden z nas nie wie nawet o tych, z którymi razem na te boje wyruszał.

Ludzi tych przemieszała wojna, bratasz się co chwilę na zawsze, — jutro na zawsze zapominasz. I wszędzie, gdzie cię niema, kwitnie zapominanie, a znów wszędzie, gdzie stajesz, pełga pamięć, — tak płona!

Wiesz tylko, że na mapie leżą miasta, na bibułkach wymienione są komendy, a ty za cieniutkim papierkiem rozkazu pędzisz miastami, drogami żywemi, lasami bujnemi, w których nocą kipi złoto ognia.

Utarł ci się w głowie dzień z nocą w jeden ciąg, śliczną plecioną nowością, że wkońcu czekasz, słuchasz, patrzysz, samemu sobie zapomniany, jak właśnie tu, na małej uliczce Żytomierza, — z całym Kijowem w piersiach, z szarfą Dniepru na oczach...

Tyka zegar, fikusy nudzą się na oknie, ktoś drepce

Tu tyka zegar, fikusy nudzą się w oknie, ktoś drepce po pokojach, samowar dmucha kitką pary, rzekłbyś, sama codzienność spływa z kurka równemi kroplami do miseczki...

Naprzeciw leży mała droga, dalej przy białych partowych domkach strażują smukłe topole.

Popołudnie ciepłem swem tchnieniem przebiera lekko w liściach, górą zaś śpieszy niebo błękitne, sam nie wiesz, w którą stronę.

I tak się patrzysz, o framugę oparty, roztrwoniony po całym kraju, niby obecny tu, a przecie nigdzie niebędący, — gdy z za zakrętu drogi wyjeżdża skądciś konno, pochylony na siodle, zakurzony i brudny...

Przyjacieli!

Wołasz na niego z domu.

Za chwilę, gdy już we dwóch siedzicie, — wlecze któryś trzeci jakiegoś znów czwartego. przyjaciela.

Prawdziwy cud, — wielkie wymachiwanie, moje uszanowanie, — widzieliście coś podobnego?!

I, jak was Pan Bóg stworzył na tę wyprawę razem w kupie, takeście się przypadkiem zesłi znowu z różnych stron. Nuże, jeden przed drugim, wszystko widziane, wszystko słyszane wytrząsać co najprędzej.

I śmiać się zdrowym wielkim śmiechem wesołych

koni i dogadywać ciemnym topolom, które strzepią tak ślicznie swój głos, — i nuże się rozwalać wygodnie.

Rozwalać się szeroko, — jak plany wypełnione!

Strudzony tułów niech leży na kanapie, ramiona i nogi, każda osobno wypoczną na krzeselkach, które z pewnością jeszcze żołnierzy napoleońskich gościły. A łapami nienasyconemi wszystko, co stoi pod ręką, nuże ruszać, oglądać, macać, farfurki stare głaskać i klepać się po własnych portkach, z których idzie kurz całej długiej kampanji.

Nagle, — właśnie gdyśmy siadali do herbaty, gardłem pełnem śmiechu rechotając, — stękać coś jęło przez powietrze chrapliwym szcękciem.

A potem zaraz głosy się z tego wysupłały malutkie, okrągłe, srebrne, grzecznemi perełkami spadające, to przerwane, to równe, związane na kokardy zwrotek.

Ucichliśmy zdumieni, — bo to tak było dziwne i nagłe, jakby znienacka samo powietrze zadzwoniło.

Już strofki równo kładły się dźwięczną falą kadencji, gdyśmy źródło muzyki wykryli.

Mieściło się w obrazie starym, — przedstawiającym przysięgę Kościuszki na Rynku krakowskim. Widać trącił ktoś obraz, obudził stare sprężyny i oto kręcąc się posłusznie, — proszą głosem dawnej uroczystości na stare kąty, meble, na nasze głowy, na nasze oczy, na nasze ręce i na szum liści zaokiennych.

Tak pięknie, jakby samo źródło dalekich wspomnień pryskało perełkami, jakby się z siebie wziął ten głos dawnego czasu i prosić zaczął na nas tu obecnych cu-

downą, dźwięczącą rosą dawnych wędrówek, bojów, strat i cierpień i przysiąg i radości.

Oto Kościuszko w sukmanie podnosi rękę, a opodal Madaliński w buljonach; zboku, jak garść poziomek, gromada Krakusów, w głębi lud z kółek złożony cieli-stych, przed ludem, nito białe serki, rząd hełmów lakierowanej, granatowo-niebieskiej piechoty.

Słuchamy, — z emalii niebios przęda się skoczne głosy dawnego wieńca pieśni.

I cóż, — i nic i tylko nie wiem kiedy i nie wiem dlaczego, nie wiem z powodu jakiej sprawy, jakich wzruszeń czy wspomnień, czy też symbolów, czy może jakichś wieszczych przypowieści — pod głos owych kurantów jęły nam płynąć z oczu prędkie szczęśliwe łzy.

KONIEC.



253248